

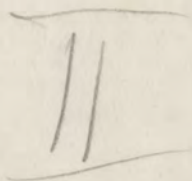
PRENTICE MULFORD

ŻYCIE

45203
[2]

CZĘŚĆ DRUGA WYSZŁEJ W KILKU POLSKICH WY-
DANIACH KSIĄŻKI „PRZECIW ŚMIERCI“ I „SZTUKA
ŻYCIA“

PRZEKŁAD PRZEZ *J. R.*



KRAKÓW.

NAKŁADEM SPÓŁKI NAKŁADOWEJ „SPOŁEM“.
SKŁADY: E. WENDE I SKA WARSZAWA. — THE POLISH BOOK
IMPORTING CO NEW YORK.

H-123694



45203

[2]

DRUKARNIA „SZTUKA“ W KRAKOWIE, SOBIESKIEGO 16.

PRZEDMOWA TŁÓMACZA.

Pierwsza książeczka Prentice'a Mulforda, amerykańskiego filozofa-poety, przetłómaczona na języki europejskie i wydana także po polsku pod tytułem: „Przeciw śmierci“ wywarła bardzo silne wrażenie dzięki niezwyklej, możnaby powiedzieć iście amerykańskiej, oryginalności poglądów i ideałów autora. Nic też dziwnego, że druga książeczka tego autora, poświęcona życiu, została odrazu przetłómaczona na kilka języków i powitana w Europie bardzo serdecznie. Dość wspomnieć, że w języku niemieckim w przeciągu roku doczekała się dwudziestu dwóch wydań.

O ile książka „Przeciw śmierci“ traktowała całkiem seryo rady i wskazówki, mające na celu „przewyciężenie śmierci“, o tyle „w Życiu“ idee omawiane są i przedstawiane w sposób zgoła humorystyczny. Niema w tej książce niczego, coby było ważniejsze dla człowieka niż naprzykład guzik od surduta, spinka, albo prawidło na buty. Jest to po prostu „książka banalności“.

W tych banalnościach kryją się niejednokrotnie bardzo głębokie prawdy życiowe. Mul-

ford rozwodzi się naprzykład nad wbijaniem gwoździ w ścianę, nad kupowaniem towarów, nad wieszaniem kuchennych przedmiotów i — filozofuje na ten temat, a filozofuje dowcipnie, interesująco.

Nie jest to filozofia zbyt głęboka. Przeciwnie, Mulford lubi się ślizgać pomiędzy istotnymi banalnościami, a rzeczami naprawdę poważnymi. Czytelnika, przyzwyczajonego do spokojniejszego toku myśli, zaskoczą u niego niejednokrotnie jego gwałtowne przeskoki myślowe, zdumieją niespodziewane sądy, wypowiedziane bardzo prosto i jasno, czasami olśnią fajerwerki nowych, albo przynajmniej na nowe wyglądających, prawd, zawsze oryginalnie ujętych i wywiedzionych poprostu z banalności.

W tem, jakoteż w szczerym, amerykańskim humorze leży urok owych „filozofowań“ Mulforda, ich wdzięk i powab.

W przekładzie staraliśmy się uwydatnić wszystkie właściwości stylu autora. Ten styl jest rozwichrzony i niespokojny. Sprawy najbanalniejsze i najpoważniejsze płaczą się w nim w jedną, chropowatą czasami, ale nierozzerwalną, istotną całość.

Tłómacz.

I. Alfa.

Oddawna już nosiłem się z myślą, aby sobie własnymi rękoma wybudować w lasach dom, być robotnikiem od taczek i królem zarazem i żyć tam samotnie.

Nie dlatego, żebym był cynikiem, albo żebym ze światem zostawał w rozterce.

Nie mam najmniejszego powodu do niezadowolenia ze świata. Świat dał mi mnóstwo przyjemności, rozsypując mi je pomiędzy bólem głowy, przystępami żalu i płodzeniem dobrych postanowień. Tych ostatnich nie mogłem przeważnie dlatego dotrzymać, że mi zbyt szybko pod rękami butwiały.

Spróbowałem traktować życie dobrze i ono mnie wynagrodziło. Bo życie bez oporu na uśmiech odpowiada uśmiechem, na kopanie kopniakiem. I jeżeli czytelniczką moją jest

młoda dziewczyna, to zachowa ona swą piękność znacznie dłużej, jeśli będzie miłą nie ze względu na otoczenie, na społeczeństwo, ale ze względu na życie — jeśli nie powierzchownie stroić będzie twarz skurczem uśmiechu, ale raczej wewnątrznie uśmiechać się będzie do przyszłości, to wówczas także przyszłość uśmiechnie się do niej.

W Nev-Jersey znalazłem wreszcie kawałek lasu, bagno, źródło, strumyczek i solidny, szeroko rozgałęziony dąb. — Pod tym dębem budowałem.

Było to przed pięciu laty. Miałem wówczas lat czterdzieści dziewięć — obecnie nie czuję się starszym, nawet już trochę młodszym. Co ludzie mogą myśleć o moim wieku, to sprawa całkiem inna. Koronnym świadkiem jest przecie własna świadomość.

Gdy flaszką szampana działa w organizmie człowieka, cóż go wtedy obchodzi, co inni myślą o nim, lub o jego wieku! Taki stan szampańskiej bez troski powinno się umieć zawsze pić z życia.

W tych czterdziestu dziewięciu latach spędziłem dwa obojętne jako majtek na okręcie handlowym i na statku do łowienia wielorybów.

Na tym ostatnim byłem kucharzem, na nie-
szczęście wszystkich tych na pokładzie, którzy
się dostali w sferę działania moich kulinarnych
niepowodzeń. Dopiero gdyśmy byli na pełnym
morzu odkryto, że ja o szlachetnej i tak poży-
tecznej sztuce gotowania nie miałem wyobra-
żenia. Wtedy jednak było już zapóźno.

Przez dwanaście lat byłem w Kalifornii,
gdzie wygrzebywałem coś niecoś złota i olbrzy-
mie ilości gruzu. Byłem dyrektorem szkoły,
prowadziłem bar i kram, ujeżdżałem dla gór-
ników nad rzeką Tuolamne mięso dla skru-
szenia go, kandydowałem na posła, służyłem
za policyjanta, byłem poborcą podatkowym
i posłańcem pocztowym, szukałem w Newadzie
srebra i nie znalazłem nic prócz śniegu, pię-
knego krajobrazu i nędzy — sporządzałem plany
miast, gospodarzyłem w kwitnących farmach
na pustyni i stepach, urządzałem odczyty i pi-
sałem do gazet. Wypróbowałem swoją kon-
stytucję i jej prawa w sposób szanowny, a także
i inny. Jest ona jeszcze dotąd nietknięta, acz-
kolwiek mogłem być mieć tyle chorób, ilebym
tylko chciał — gdybym miał był ochotę płacić
za to i wykupywać je u specjalistów i aptekarzy.

Widziałem Cap Horn, Londyn, Paryż, Wie-
deń — osiadającego na mieliźnie wieloryba

i bunt okrętowej załogi — widziałem też kobietę, która nie potrzebowała nowego kapelusza — leżała ona w trumnie.

Żyłem dwa lata w Anglii, miałem wspaniałą pogodę i bardzo mało pieniędzy, widziałem ten kraj od granic Szkocji aż do Dovru, obcowałem z przeszło trzydziestu rodzinami, wysokimi i niskimi, bogatymi i biednymi, z patrycyuszami i plebejuszami.

Zanim poszedłem w życie, prowadziłem jako czternastoletni chłopiec wiejską gospodę i w czterech latach doprowadziłem ją do ruiny, ale chłopców i dziewczęta mej młodzieńczej ery jazda na mych koniach nie kosztowała nigdy ani centa. Dobre czasy miałem jako dyrektor hotelu, który śp. ojciec mój, umierając, przekazał matce. Była zmuszona zarząd nim powierzyć prawie w całości swemu najstarszemu i jedynemu synowi. Tym synem byłem ja. Matka moja — kobieta trzeźwa — miała wstręt do interesu i ja uwolniłem ją wkrótce od niego, przez co jej się przypodobałem, a i sam miałem w tem swoją przyjemność. Mieliśmy bar, który popierali ogromnie chłopcy w moim wieku, gdyż przekąski w nim kosztowały ich mało co albo nic — przeważnie nic — fakt,

który wprawdzie zwiększał ogólną wesołość, ale nie dochody.

.

Rodzinnem mem miastem była miejscowość, w której chłopiec, gdyby się pokusił o opowiedzenie matce, o czym w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin myślał, co robił i czego doświadczał, byłby wywołał tyle swarów, przerażenia i pogardy, że odstraszyłoby go to na cały miesiąc od wszelkiej cnoty i uczciwości.

Gdzie chłopcy systematycznie, sumiennie i bez skruchy okłamywali swych ojców, tak, jak ci niegdyś okłamywali swych „dziadków“! Gdzie połowa miasta należała do abstynentów, którzy nienawidzili bardziej pijących whisky, niż samą whisky i tym, którzy byli innego zdania, jak oni, nadawali przezwiska w nie znających miary stowarzyszeniach wstrzemięźliwości! Gdzie mowcy tak byli pijani uprzedzeniami, gorliwością i wściekliwością nawracania, jak inni pijacy niedogonem.

Doprowadziłem nasz bar do zastoju, zdoławszy go tak urządzić, że rozchody stale przewyższały dochody. Dobrem następstwem tego był fakt, że młodzi ludzie popijali potem w innym lokalu, w którym musieli za to płacić,

a to jest zawsze silnym bodźcem do wstrze-
mięźliwości — jeżeli nie do etyki wogóle.

Gdy tego wszystkiego dokonałem, a to chyba
niemało, jak na siedmnastoletniego chłopca,
poszedłem w świat szukać szczęścia — i szu-
kam go jeszcze dotąd z rezultatami, które na-
turalnie przemawiają po części za mną, po
części przeciw mnie.

Ale miałem dobre czasy i mam zamiar mieć
jeszcze znacznie lepsze.

II. Zakładanie kamienia węgielnego.

Za jakieś pięćdziesiąt dolarów kupiłem de-
sek i materiału budowlanego, który kazałem
zawieźć pod swój dąb i tam złożyć. Niczyja
ręka prócz mojej nie kładła fundamentów. Naj-
pierw ułożyłem podłogę. Nie miałem żadnego
dobrze obmyślanego planu budowy, któryby
mi był mógł przeszkodzić położyć najpierw
podłogę, jeżeli mi się tak podobało. — Tyle
przynajmniej ostatecznie zbudowałem. Pozwo-
liłem strukturze rósć w sposób naturalny. Cieśla
z zawodu byłby zapewne najpierw sporządził
rusztowanie, ja jednak czułem: gdy raz po-
zbędę się tej podłogi, to reszta budynku urośnie
na niej w jakiś sposób — i tak się też stało.

Wiem, że w mej budowlu pogwałciłem wszystkie architektoniczne zasady przyzwoitości i zadałem sobie sto razy więcej pracy, niż było potrzeba; ale praca była radością i zabawą — rezultat zaś niczem więcej, jak dużym drewnianym pudłem, z desek, długich na dwanaście stóp i nawet w stanie wykończenia nie tak porządnym i regularnym, jak oszalowania z desek na wysyłanych drogą wodną powozach lub innych wielkich przedmiotach. — Ale ja nie budowałem dla poprawności ani dla ludzi — budowałem dla siebie. Ten jeden raz w życiu żądałem zupełnej swobody w potykaniu się, błędzeniu i myleniu, nie będąc przez innych ludzi dogładanym, krytykowanym, osądzanym dobrze lub źle. Tę wolność miałem — i popełniałem swoje błędy.

Ani razu w ciągu dwóch miesięcy, gdy tworzyłem tę spaczoną, koślawą szalupę, nie zbliżyła się ani jedna ludzka dusza — by się gapić, drwiąco uśmiechać i mówić, jak źle ja wszystko robię; a chociaż nawet taka cholera nie mówi, co myśli, to jednak ma taki sposób patrzenia, jakby sobie to myślała — myśląc więc, daje mi odczuwać, że tak myśli. Tacy ludzie działają zapowietrzająco. Chcę robić

swoje rzeczy na swój własny sposób, ze swoimi błędami i postępując naprzód, uczyć się — a gdy będę gotów, kogoś, kto więcej wie, zapytać, jak się to lepiej robi — wówczas — dopiero wówczas — tylko wówczas, a nie wcześniej, pragnę rady i pouczenia. To wyjątkowy zbytek — takie potykanie się w postępowaniu naprzód. Chciałem sobie na niego pozwolić i zapłacić za niego.

Moja posiadłość leżała na końcu wielkiego pola — na dalekim horyzoncie jeden jedyny dom — żadnej drogi; nauczający musiałby brnąć milę przez trzęsawiska, aby się dostać do mnie. Tak więc w deszczu, śniegu i brudzie, myląc się, błędząc i poprawiając, budowałem tam w polu przez styczeń i luty. W dalekim domu sąsiedzkim na horyzoncie spałem, pędziłem potem rano milę do najbliższego dworca kolei, stawałem w City o wpół do ósmej i załatwiałem swą dwugodzinną robotę w jednej z redakcji. — Stanowiło ją wyliczanie owych wiecznie jednakich wypadków, jak: morderstwa, włamania, eksplozje, samobójstwa (rewolwer, brzytwa, powróż, trucizna), kradzieże bankowe i kieszonkowe, pożary, pęknięcia kotłów, zrywanie się wind, nieszczęśliwe wypadki (gaz, nafta, benzyna — gorąco, zimno — góry,

morza), konkursy i cokolwiek jeszcze w cywilizowanych społeczeństwach rok rocznie w taki sam sposób się dzieje, z tą jedyną różnicą, że łotr lub ofiara coraz to inaczej się nazywają — a czasem nawet i to nie.

Dziwię się, jak ludzi mogło interesować czytanie takiego monotonnego i grozą przejmującego katalogu okropności, jakim ja ich codziennie raczyłem.

Czy będą tak wiecznie te okropności czytawali co rano przy śniadaniu? Czy niezbadana opatrność po to będzie ludzkość utrzymywać przy życiu? Nie pojmuję, na czym polega potrzeba czy korzyść dowiedzenia się przy kawie i chlebie z masłem, że minionej nocy znaleziono w Centralnym parku włóczęgę, powieszoną na drzewie, albo że jakiś idyota otruł się witryolem i umarł w ogrodzie na ławce, na której może ja jutro usiądę, gdyż dziewczyna, którą chciał poślubić i unieszczęśliwić, wolała wyjść za jakiegoś innego idyotę i pozwolić mu się unieszczęśliwić.

Pisywałem również fachowe artykuły i pisałem światu, jak strasznie chybione jest wszystko w dziedzinie społecznej, politycznej i innych dziedzinach i jak by to należało poprawić. Starłem się wówczas znacznie gorli-

wiej reformować świat, niż samego siebie — trzymałem elektryczną gruszkę mego intelektu skierowaną ze znacznie większą wytrwałością na braki innych ludzi, niż na swoje własne.

Byłem dość długo dziennikarzem, aby mózdz stwierdzić, że są publicyści trojakiemu rodzaju: tacy, którzy potrafią pisać o całej wspaniałości ducha ludzkiego, a przytem nie mają na tyle praktycznego zmysłu, aby wbić prosto gwóźdź w ścianę, albo odróżnić oskubane dziesięciomiesięczne kurczę od starej, dziesięcioletniej, łykowatej kury — tacy, którzy umieją pisać, a ponadto mają rozum, — wreszcie tacy, którzy, nie umiejąc pisać, potrafią posługiwać się pisaniem innych, umieją cudze mózgi nakręcać dla własnego pożytku, do czego mają zresztą słuszne prawo, bo kto ćwiczy talent, a nie ćwiczy łącznie z nim zmysłu kupieckiego, który ożywia i realizuje równocześnie — ten wcześniej czy później musi się przyglądać, jak zamiast niego, kto inny korzysta i zrywa dla siebie dojrziałe w życiu owoce talentu.

Siedziałem w redakcyach obok mężów wysoce wykształconych, ze wszelkimi państwowymi egzaminami, obok ludzi, których mózgi były magazynami wiedzy, ale zresztą niczem; chwyтали się oni chętnie za ośm dolarów na

tydzień każdej roboty, jaką im szef wyznaczył i pisali i stękali, stękali i pisali, biedne psy, gdyż jak mówili, talent ich nie znajdował już uznania. I ciągle gadali o tem, czegoby oni to nie zrobili, gdyby się im nadarzyła bodaj raz jakaś lepsza „sposobność“. I sarkali na ten kupiecki wiek i na to kupieckie postępowanie przedsiębiorstwa, dla którego pisali i nigdy nie rozjaśniło im się w głowach na tyle, by mogli zrozumieć: że jedyną na tym świecie sposobnością objawienia swoich idei przez mężczyznę jest: wziąć na siebie odpowiedzialność i stworzyć sobie samemu sposobność — taksamo jak to zrobił szef z pierwszego piętra, który im wypłacał zarobek co tydzień i wykorzystywał ich jako literackie muły, gdyż oni nigdyby się nie odważyli być czemś innym.

Ja sam z dość spokojnem sumieniem zastawiałem publiczności codziennie intelektualną strawę, usmażoną z ingrediencyi naszej barbarzyńskiej cywilizacyi, a to dlatego, bo byłem za to dobrze płatny, robota mnie bawiła, a publiczność chciała, domagała się i lubiała swoje codzienne okropności, podawane właśnie tak, jak ja jej to robiłem. — Rano jednak, o wpół do jedenastej, uciekałem już koleją do siebie, do mojego kochanego bagna i pracowałem

tam do zmierzchu; czasami czuwała nademną wrona, kołysząca się na sąsiednim drzewie, znużona, głodna i zła, gdyż nie miała skąd wygrzebać młodego ziarna.

III. Kupno narzędzi — i o kupowaniu w ogólności.

Zanim zacząłem budować, kupowałem rozmaite narzędzia ciesielskie, aby móc budować. Kupowałem narzędzia przez cały okres budowy — kupowałem dużo, znacznie więcej, niż potrzeba. Każdy terminator stolarski byłby moją chatę postawił, mając tylko młot, piłę i potrzebne gwoździe. Ale dłuta, dłutka, piły i węgielnice z nowymi rączkami i błyszczącymi ostrzami przyciągały mnie poprostu. Kupując, dostawałem się coraz głębiej w ten osobliwszy wir żądy kupowania. Nie mogłem już przejść obok żadnego sklepu ze stalowymi towarami, żeby nie potrzebować koniecznie połowy wystawy. Potrzebowałem jej też. Potrzebowałem przyjemności, tkwiącej w kupowaniu, oraz... w oglądaniu — ale nie tego, co kupowałem.

W kupowaniu nowych rzeczy tkwi wielki urok, bez względu na to, czy się tych rzeczy

potrzebuje, czy nie. Szał kupowania wybucha zupełnie przypadkowo, wypróżnia do dna sakiewkę i to prędzej, niż zaskoczony zdoła ją znowu napełnić.

Rozumiem kobiety, które idą na zakupy i wracają, uginając się pod pakunkami — obładowane dziesięć razy większą ilością rzeczy, niż kiedykolwiek miały zamiar kupić. Domy towarowe wywierają jakiś tajemniczy i niebezpieczny wpływ, dzięki któremu niepotrzebne rzeczy zdają się pożądaniami godnymi. Z biegiem czasu znalazłem jedynie skuteczną metodę obrony. Należy podnieść żagle woli, potem wejść w pełnym pędzie, ze stanowczym zamiarem kupienia potrzebnej rzeczy — przebyć ocean wybiórków i wyjść — ze swoją rzeczą w zębach!

Takim sposobem nauczyłem się wchodzić i wychodzić z domów towarowych bez niepotrzebnie kupowanych głupstw.

Wiele śmieci kupowałem z początku pod wpływem tych małych kupieckich magów-subjektów. Ci przepajają najpierw człowieka uczuciem, że się musi coś kupić, chętnie czy niechętnie, bo inaczej oglądanie ich towarów, chociażby przez pięć minut, zwałoby się zabieaniem im drogiego czasu. Należy wejść z naj-



jaśniejszą przytomnością umysłu, z silnem postanowieniem, aby mózdz stawić skuteczny opór milczącej przemocy tych ludzi. Cała atmosfera niektórych domów towarowych jest formalnie przeładowana, przesycona przymusem kupowania, wzmocniona klęskami wszystkich poprzednich ofiar — istne wyjeżdżone duchowe szyny, które prowadzą do byle śmieci. Począwszy od szefa do ostatniego chłopca przy windzie, wszyscy tam chcą, pragną i są stanowczo zdecydowani nie puścić żadnego gościa, dopóki czegoś nie kupi. Tak więc szanse są już z góry nierówne, a gdy ponadto jest się zmęczonym, głodnym, albo wzburzonym, a co najgorsze roztargnionym, to człowiek staje się łupem tych magów interesu, którzy mu wcisną wprost wszystko, czego się chcą pozbyć. Przytem zdaje się człowiekowi, — i w tem właśnie leży dyabelska ironia — że działa z własnej wolnej woli, a tymczasem maszeruje za cudzemi myślami. Bo duch subjekta skupiony jest na jednej rzeczy: sprzedawaniu; to daje mu siłę w tym jednym kierunku. Duch kupującego nie jest skupiony na niczem szczególnem; to

go czyni słabym. Kupuje więc, co mu każą kupować i staje dopiero w domu, uwolniony z pęt, osłupiały na widok głupstw, jakie nakupił. Któż brałby to za złe subjektowi! — Jego rzeczą jest sprzedawać to, co chce sprzedać, a nie to, czego my potrzebujemy. Naszą rzeczą zaś, gdy jesteśmy kupującymi, jest: po pierwsze iść do sklepu z czemś, podobnym do jasnego pojęcia o tem, czego chcemy, po wtóre: nie być w usposobieniu narwanem, po trzecie nie przetrząsać w duchu sklepu, gdy się w nim jest, przez jakie pół godziny, co jest nieuniknionem przy ogólnym występku, pośpiechu. Wtenczas może, przyszedłszy do domu, przekonamy się, żeśmy zakupili te rzeczy, któreśmy chcieli kupić, a nie te, które czarownik kupiec chciał sprzedać, a które, gdy umysł człowieka powróci do normalnego stanu, wydadzą mu się zgoła niepotrzebnymi, tak, jak są istotnie. Że subjekt zaczarowuje towary i wogóle wykonuje czarną magię, jest, dokładnie biorąc, konieczną z jego strony obroną. Gdyby z nami sympatyzował, narażałby się na niebezpieństwo wpadnięcia w takisam bezcelowy, niezdecydowany stan, a temsamem poddałby

się nam. W taki sposób, stawszy się chwilowo półidyotą przez sympatyę dla nas, łatwo mógłby wyprzedać cały sklep po połowie ceny. Dziw doprawdy, że sprzedający i sprzedające nie dostają mniejszego lub większego bzika, gdy się zważy, z jak zwaryowaną, niezdecydowaną i bezradną trzodą mają do czynienia od rana do nocy — kto bowiem musi żyć w domu obłąkanych, sam naraża się na niebezpieczeństwo poniesienia szkody na umyśle. Dom towarowy zaś i dom obłąkanych, odnośnie do zachowania się w nich ludzi, mają dla obojętnego widza głębokie podobieństwo. Gdybym był sprzedającym, sprzedałbym wam mego ojca i mą matkę i całe społeczeństwo aż do czwartego i piątego stanu i blaszane zegary za złote, a to z czystym sumieniem, gdybyście przyszli do mnie w tym grzesznym i niepowściągliwym stanie umysłu — zrodzonym z pośpiechu, niezdecydowania i nieokreślonej żądzy otrzymania czegoś za nic.

Z taką głową latać między ludźmi i zarażać ich, jest bezprawiem i publiczną zbrodnią, zupełnie tak, jakby się chodziło między ludźmi

z ospą lub odrą. A ja sam chodziłem z taką głową i popełniałem to bezprawie i grzeszyłem bardzo często.

IV. O moich kurach.

Chciałbym tutaj opowiedzieć o reszcie mych budowniczych, albo może jak chcecie, budujących doświadczeń. Nie wiem jeszcze dlaczego, ale zbliża mnie to do mych własnych przeżyć.

Zbudowałem kurnik i chowam kury. Kurnik zbudowany jest z doświadczeniem i techniczną zręcznością, zdobytą przy budowie domu. Rezultatem tego jest, że co się tyczy symetrii, planu i przecięcia pionowego, przedstawia daleko więcej skończoną konstrukcję, niż dom.

Kury lubiłem od dzieciństwa.

Wyrastałem wśród nich u mej owdowiałej babki, która żyła sama w starym domu, z licznymi kotami i kurami i rządziła w spokoju tem osobliwszem współzyciem chłopca, ptactwa i drapieźców. Była to zwiędła, spokojna stara niewiasta; nigdy nie chodziła do kościoła, czytała sobie sama swą biblię w niedzielę, nie znosiła w domu węgla, paliła jedynie drzewem, nie widziała nigdy kolei żelaznej, nie jechała

nigdy parowcem, unikała odwiedzin, robiła cudowne miętowe ciastka — zjadała punktualnie o godzinie dziewiątej wieczór jedno — dawała i mnie jedno — i nienawidziła z całej duszy starego T..., spedytora z sąsiedztwa, którego krzyki przy robocie napełniały podwórze od rana do nocy, obok uprząży, połamanych dyszli, beczek, paczek i wiór, tak, że wyglądało tam, jakby sam szatan wszystko poprzewracał. Babka moja z zachwytem obserwowała w targowe dni, jak wieśniakom płoszyły się konie, co się często zdarzało, i jak kawałki masła wpadały z pluskiem w uliczne kałuże, podczas gdy woźnica krzyząc „wio“, galopował z tyłu i przy każdym skoku wyląwiał jeden kawałek po drugim z kałuży. Umiała ona jednak nakłonić swoje kury do tego, by znosiły więcej jaj, niż wszystkie inne kury w mieście — była u nas istna wylęgarnia jaj.

Naprawdę grzecznych małych chłopców nie lubiła; byłem jedynym z rodziny, którego chciała mieć przy sobie — wbrew woli mych rodziców. Ja jednak chętnie mieszkałem przy niej — miałem tam znacznie więcej wolności i tortów — a także tyle siniaków, ile tylko zdołałem zdobyć w wieczornych walkach z ulicznikami. Głową ich i naczelnikiem był „Nigger

Hen“, Henryk Murzyn, który nami władał i, jeśli było potrzeba, sprawiał lanie, w każdym razie jednak posiadał zawsze więcej pieniędzy, niż my wszyscy razem. Był druhem mej młodości aż do dnia, w którym — namówiony przez złośliwego subjekta od mego ojca — skłoniłem Nigger Hena do dmuchania w mały wiatrak do zabawy. Był on pełen mąki — i gdy Hen dmuchnął, istna chmura mąki wdarła mu się do oskrzeli i innych otworów.

Wówczas odtrącił mnie od siebie!

Musiałem się zbliżyć bardziej do „Hen Hill’a“, Henryka Pagórka. Zanoszenie i wynoszenie z mieszkania matki do sklepu ojca wielkiego kosza z syropem, ciastkami i wodą sodową, wypełniało życie tego chłopca. Kochałem Henryka, gdyż w drodze przez nasz podworec pozwalał mi zawsze próbować swe ciastka. Usuwaliśmy się w mrok potężnej, pustej paki, a znaleźmy pomysłowe metody zdejmowania łyżeczką lukru z tortów, wyjmowania z wnętrza kosza porządnych porcy i wprowadzania ich do naszego zawsze radośnie je przyjmującego organizmu. Henryk wypoczywał przeważnie — podczas gdy ja jadłem. Z wyglądu „Hen“ był mniej lub więcej tortem, którego cząstki były doń poprzyklepiane, a gdzie nie

było tortu, były plamy z lodów śmietankowych! Bo matka kazała mu kręcić w piwnicy maszynę do robienia lodów, a my mieliśmy tam schowaną starą łyżkę, którą w krótkich przerwach kosztowaliśmy lodów, gdy ze stanu płynnego przechodziły w stały stan skupienia. — Arystokracja miasteczka, która w salonach pana Hill jadła lody, ani na chwilę nie przepuszczała, czyje palce w nich najpierw były — bo jeżeli czas i okoliczności nagliły, uznawaliśmy palce za bardziej odpowiednie, niż łyżkę.

Ponieważ właśnie mówię o kurach, a przynajmniej miałem zamiar mówić o nich, uznałem za stosowne rozpocząć to od „Nigger Hena“ i „Hen Hilla“. W każdym razie odziedziczyłem po babce pasyę i zdolności do chowania kur — i równie wzruszająca radość przenika mnie jeszcze dzisiaj, gdy znajdę w gniazdach tuzin jasnych, białych, świeżych jaj — jak wówczas, gdy miałem lat dwanaście.

Ale piękność i wartość życia polega na tem, by w równej mierze cieszyć się tem, czem cieszyliśmy się, będąc dziećmi i by niezwiędłe dziecięce rozkosze łączyć z noworozkwitłemi przyjemnościami dojrzałego wieku! Używać tego, co się używało, gdy ciało było młode,

a duch również świeżo przystrojony wstępował w świat. Między czwartym a czternastym rokiem życia słońce zjawia się w aureoli, księżyc pełen jest baśni, a trawa tak bardzo zielona — jak już nigdy potem — i dlaczego???

V. Duchowe trudności.

Dom ma cztery boki, spadzisty dach, dwa wielkie okna od południa — dziurę na drzwi, drugą na rurę od pieca i około sto pięćdziesiąt szczelin, których przeważną część zrobiłem ja sam, przypadkowo czy umyślnie, przy nieudanych próbach zetknięcia porządnie końców desek w rogach; reszta zrobiła się sama przez paczenie się i inne wady świeżego i młodego drzewa.

Gdy zaświeciło ciepłe wiosenne słońce, zdumienie me nie miało granic, kiedy usłyszałem to strzelanie wylatujących sęków, po których zostawały wielkie i małe dziury — (dlaczego one nie zrobiły tego wcześniej?) Poprzybijiałem nad nimi łaty i poskromiłem je w ten sposób. Nigdy dawniej nie miałem pojęcia o tylu różnorodnych siłach natury, zawsze gotowych do zniweczenia ludzkiego dzieła.

Gdy z ziemi wychodził mróz, podłoga moja zaczęła się falisto podnosić, ściany i dach przez

sympatyę poczęły się paczyć — dom był istnym człowiekiem-wężem. Powietrze dostawało się przez szpary w podłodze. Położyłem na niej ceratę. Deszcz padał z góry przez szczeliny. Umieściłem tam ceratę — nową, o pięknych, wesołych barwach.

Był to wesoły dach — weselszy, niż którakolwiek część wnętrza — przypominał zarzutkę w kratki, która przykrywa stare ubranie, zasobne w lata, dziury i doświadczenia.

Ludzie śmiali się z mego ceratowego dachu! Mówili oni: „Dlaczegoż nie cynk lub dachówki?“ Ponieważ cerata jest o połowę tańsza i wytrzyma tak długo, jak długo będę potrzebował tego dachu.

Ale mówili oni dalej: „To niezwykle“. No — ktoś musi rozpocząć rzecz niezwykłą — i ja byłem tym ktosiem.

Niezwykłem było również odkrycie Ameryki. Śmiejecie się szyderczo ze wszystkiego, co niezwykle, a w dwanaście miesięcy potem naśladujecie je wszyscy — zwłaszcza zaś wówczas, gdy spodziewacie się bodaj dwóch groszy zysku.

Artykułem, którego najwięcej miałem do budowy, którego jednak najmniej używałem, był... czas.

Duch mój wyprzedzał zawsze mą pracę, zamiast być w niej.

Uważam, że aby coś zrobić — zrobić jak najlepiej — człowiek powinien całą siłę ducha, którą rozporządza, teraz — odrazu — wyłącznie ześrodkować na swoim dziele, choćby ono było nie wiedzieć jak pospolite! Czy jest to wbijanie gwoźdźcia, czy pisanie rozprawy (o której się myśli, że od niej ludziom włosy na głowie powstaną — acz żaden włos się nie ruszy).

Pozwolić płynąć energii - woli obok, równa się złemu urządzeniu pędzonej siłą wody maszyny — woda płynie niewyzyskana obok niej, nie pędząc jej.

Przyszedłem do wniosku: Myśli człowieka są w gruncie rzeczy siłą jego mięśni, najwyższe unerwienie jest najlepszą ekonomią przy każdej pracy. Kto mi nie wierzy, niech wyjdzie podczas huraganu na strażnicę na przylądku Hatteras, albo na wieżę nad La Plata! I kiedy będzie się trudził nad ściągnięciem buntującego się, wydętego żagla, który ciężki od deszczu i piany bije go po głowie swemi ciekącymi pięściami z płótna i czyni co się da, by rzucić człowieka w wodę, wówczas niech się przekona, czy jest to czas i miejsce po temu, by

sobie przypomnieć, co mówił do młodej kobiety, żegnając się z nią, albo co mówiła inna młoda kobieta, kiedy jego żegnała — lub też myśleć o barwie i kroju spodni, które sobie ma zamiar sprawić!

Chociaż przy drobniejszych działaniach skutki „myślenia o czym innym“ nie odrazu są śmiertelne, mimo to istnieją. Najlepszym ćwiczeniem w skupianiu myśli jest — wbijanie gwoździ, gdyż tutaj wszelkie „myślenie o czym innym“ powoduje „uderzanie w co innego“, mianowicie w palec zamiast w gwóźdź.

Cierpiałem poprostu nieludzko skutkiem uderzeń młota w palce, źle piłowanych desek, potykania się i innych rzeczy, ponieważ przez dziedziczny grzech, złączony z długim jak życie narowem, duch mój był zawsze przy rzeczach, które mógłbym wykonywać — a nigdy przy tych, które wykonywałem.

Ażeby wyzdrowieć, aby się uwolnić od tego codziennego cierpienia, malowałem sadzą z lampy i terpentyną na wszystkich stronach domu motta: „Miej czas na każdą rzecz“ i „Tylko jedno naraz“. Nawet przy akcji malowania zdarzało się czasem, że zapominałem, co ma-

luję... i morału z tego i całej historii... i zastanawiałem się nad tem, czy demokraci przyjdą do rządu — dopóki jedna z liter nie wyszła koślawie z szeregu, a płynne sadze nie poczęły kapać po mych ostatnich białych spodniach. Dlaczego? Zamiast w pendzlu, gdzie powinna być, moc, która go winna była prowadzić, znajdowała się o wiele setek mil od pendzla. Jeżeli jednak jest w Washingtonie, jak może pełnić tutaj swój obowiązek?

VI. Co to jest posiadanie.

Posiadam ten źle zbudowany dom za pięćdziesiąt dolarów w bagnach Jersey. Bardzo niewielu ludzi posiada swój dom w tak wysokiej mierze, jak ja mój. Przeważnie dom posiada ich.

Ja panuję nad tym domem. Gdy zechcę, mogę go podpalić — nie byłbym przez to uboższym, a nie mam żadnych sąsiadów, których własność mogłaby zostać przez to na szwank narażona.

Nie mieszkam na wsi, ani w mieście, którego mieszkańcy, zaalarmowani pożarem, mogliby mi się narzucać ze swemi próbami ugaszenia ognia. Mogę wszędzie w ścianach

wiercić dziury, nie potrzebując pytać o pozwolenie gospodarza. Mogę wstać o północy, by wbijać gwoździe, rąbać drzewo lub bawić się innym hałaśliwym zajęciem, nie dręczony trwogą, że mogę innych pobudzić ze snu. Mogę zostawić moje pantofle tam, gdzie je zdjąłem, jeden z wielkim palcem ku północy, drugi skierowany na południe, a w tydzień po mym powrocie znajdę je w temsamem miejscu, a nie schowane gdzieś w najciemniejszej kącie.

Nie lękam się zostawić błota na mym własnym dywanie. Nie muszę się liczyć z regularną porą posiłku. Jestem bezpieczny przed odwiedzinami. Jakiegokolwiek byłyby me wady, tutaj, wśród tych czterech ścian, obchodzą one tylko mnie. — Mam wejście tylko dla siebie. Nie rządzi mną żadna gospodyni i nie burczy mnie, gdy jem w jadalnym pokoju orzechy i zostawiam łupiny na podłodze. Mogę wbijać w ściany gwoździe rozmaitych kształtów, mogę te ściany zalepić obrazami, albo sam ozdobić je freskami, nie narażając się na skargę o odszkodowanie. Mogę trzymać w domu menażeryę. Nie dręczą mnie kulinarne zapachy z sąsiedztwa. Żadne domowe ani magistrackie rozporządzenia nie wyłupiają na mnie oczu

z wysokich tablic i nie grożą karami, gdyby mi się spodobało wylewać fusy z kawy do zlewu. Mogę swoje pokoje zalać wodą, zrobić z nich akwaryum — pływać w nich bez obawy, że coś przecieknie i uszkodzi salonowy garnitur na pierwszym piętrze.

Nie mam służącego, by grał rolę domowego szpiega, klął na masło, utrzymywał swych krewnych moim kosztem, rozbijał ulubione me wazy i zalegał pijany schody.

A jednak bardziej, niż ja swój dom, posiadał Dyogenes swą beczkę, bo on mógł ją wytoczyć z niemiłego sąsiedztwa — w zimie do słońca — w lecie do cienia i daleko od wzbierających wód — i tak był on nawet bogatszym niż ja.

Co to jest posiadanie? — Czy płacenie za rzecz, której używanie regulowane jest opinią i zwyczajami innych ludzi? Jak mało ludzi posiada w tem znaczeniu suknie, które nosi?

Czy ja posiadam parę lakierków, które mnie tak uciskają, że ledwie przyjdę do domu, zdejmuję je natychmiast, czy też są one środkiem władzy, bronią eleganckiego społeczeństwa, które mnie ujarzmia? Czy jestem właścicielem stojącego kołnierzyka, który przy każdym po-

ruszeniu głową, grozi mi odcięciem szyji — czy też straszakiem społeczeństwa?

Czy posiadam sam siebie, czy też jestem tylko goszczony, karmiony, ubierany wedle życzeń i kaprysów pewnych ludzi, wobec których czuję, że takim muszę być, albo będę niczem?

Niedawno widziałem kobietę, wracającą z zakupów — z sześciu pakunkami. Widziałem troskę w jej twarzy i zmęczenie w jej ramionach. Gdy wsiadała do tramwaju, jeden pakunek omal jej nie upadł na ziemię. Usiadła, rozłożyła obok siebie pakunki i liczyła je, czy którego nie brakuje.

Gdy w czasie jazdy popadła na chwilę w stan beztroski i zadowolenia, odrazu ogarniał ją znowu dręczący lęk o pakunki. Czy są jeszcze wszystkie — i gdzie? Czy którego nie skradziono, czy który nie spadł pod ławkę — albo czy się nie stało coś innego, co zresztą tworzy treść życia pakunków? Przy wysiadaniu, krzyżowaniu ulic — nie opuszczała jej trwoga o pakunki. Tymczasem zawartością ich były same okolicznościowe kupna — źródło tak wielu niedogodności, powstałe pod urokiem maga-kupca.

Ledwie kupiła te podejrzone rzeczy i jak sądziła, stała się ich właścicielką — już one ją posiadały, zaczęły ją tyranizować — zamieniać w niewolnicę.

Był to sobotni wieczór. Nie wątpię, że kilka z tych pakunków było powodem zamęcenia jej wewnętrznego skupienia, gdy w niedzielę rano szła do kościoła. Mówię o tej biednej kobiecie z całą sympatją, bo bardzo często ja sam pozwalałem się uwięzić pakunkom z drobnymi sprawunkami, urojonemi potrzebami, pakunkom z pożyczonemi troskami i tobołkom snobizmów. — Jakiż ciężar zgryzot niosła ta kobieta do domu w swych paczkach!

Były tam rzeczy do „wykończenia“! Ale krawcowa nie przychodziła o oznaczonej porze. Zgryzota I. Gdy przyszła, wzięła źle miarę. Zgryzota II. Gdy robota była skończona, zażądała wyższej zapłaty. Zgryzota III. Teraz trzeba było nachodzić męża o pieniądze. Zgryzota IV. Ma się rozumieć, że suknia nie była nawet gotowa na wieczorek. Zgryzota V. Czy ta biedna kobieta posiadała suknię — czy też suknia ją? Czy jakakolwiek suknia może „tak dobrze leżeć“, by wynagrodziła tak wielką stratę wesołości, czasu i zdenerwowanie! A jakże wyglądają przeważnie produkta takiego trudu!

Jak smutnie, bez stylu i żałośnie dla oczu patrzących. — —

Podczas gdy budowałem mój dom, pozwoliłem pewnego razu mym deskom posiąść mnie, gdyż nie przyszły w oznaczonej porze i to mnie zirytowało. I moje obie ławki posiadały mnie przez trzy dni, podczas gdy stały załadowane na bocznych szynach. I teraz czuję, jak wiele rzeczy stara się o złapanie mnie. W chwili, gdy zaczynają skierowywać na siebie mą uwagę — rozpierać się we mnie, rządzić w mej świadomości, grozi niebezpieczeństwo.

To, co mi sprawia troskę, posiada mnie. Gdy się spieszę jak waryat, by na jutro wieczór skończyć mój kurnik — wówczas kurnik posiada mnie. Gdy mnie to, czy kurnik będzie gotowy w tym tygodniu, czy w tym miesiącu, obchodzi tyle co zeszłoroczny śnieg, wówczas ja posiadam kurnik. Widziałem raz człowieka, którego nieubezpieczony dom spalił się, jak usiadł przed nim i poił się widokiem płomieni i całego ruchu naokół siebie. Ten człowiek posiadał jeszcze ciągle swój dom.

VII. Religia w naszym działaniu.

Trudności, na jakie napotykam przy budowie i prowadzeniu mego hotelu „na jednego

gościa“, leżą we mnie — a nie poza mną. „Poza mną“ jestem tylko ja sam — i tak chcę spróbować wejść w siebie. — —

Zawsze rzeczy mają być wykonane — zanim ja je robić zacznę. Zawsze oznaczam czas, w którym rzeczy mają się stać i bardzo się niecierpliwę — jeżeli Pan Bóg obstaje przy swoim czasie, potrzebnym do ich skończenia.

Dlaczego tyle aktów w mojem życiu musi mnie drażnić i męczyć? Dlaczego ubieranie się rano jest szybkim i smutnym trudem? — Słyszałem o pewnym Anglosasie, który się zastrzelił, gdyż nie mógł znieść dłużej rutyny toalety. — Dlaczego muszę się bez radości wsuwać w me suknie, jak do lochu?

Dlaczego zapalanie w piecu jest tak uciążliwym? Dlaczego nie mogę starannie ułożyć polan — z uszanowaniem, zwrócić na to trochę uwagi, by się najlepiej rozpałyły i paliły dla mego dobra. — —

Te codzienne drobiazgi (stanowią one dziewięćdziesiąt dziewięć procent naszego istnienia) dręczą nas tak dlatego, że się źle z nimi obchodzimy — stają się nie do zniesienia jak znarowione szkapy lub zaniedbane dzieci.

Czy niema grzesznego i czy niema „objawionego“ sposobu rozniecania ognia? Czy prawdziwa religia pozwala na niedbalstwo? Czy religia — to znaczy światło, łagodność i liczenie się z sumieniem — nie powinna przenikać każdego aktu naszego życia? Dlaczego trwonię w złości i niecierpliwości dwa lub trzy razy tyle siły na naciągnięcie mych butów, zmęcę się przez to i wychodzę z równowagi na parę godzin, chociaż trochę zręczności, trochę uwagi, skierowanej w kierunku zbadania zasad mych sznurowadeł, uczyniłoby to wszystko zabawką? — Wyznaczają światowe nagrody za przepędzenie piłki między dwoma tyczkami, przerzucenie jej przez siatkę, wyrzucenie z dołu piasku! I cała ludzkość wstrzymuje oddech! Kłania się tym zupełnie fikcyjnym wartościom! Należałoby ufundować światowe nagrody za najprzyjemniejsze czyszczenie zębów, najgenialniejsze sznurowanie trzewików — aby szatańska powszedniość straciła swe żądło i stała się sportem i radością. — —

Ludzie sądzą, że i tak to potrafią! Dlaczegoż więc wszystko idzie koślawo przy najmniejszym pośpiechu? Brak jest techniki w najpospolitszych rzeczach. — Rzecz nic nie znacząca jest zawsze niebezpieczną. Że Napoleon był

zajęty drobiazgami, kosztowało go to rozstrzygająca walkę o tron i życie. — —

Gdyby nie te moje buty rano — jakże mógłbym być podobnym Bogu. Te pięć minut, jakie codziennie trwonię na zapasy z nimi, psują mi niejeden dzień, który mógłbym przeżyć w radości. I to wszystko przez czystą głupotę, lenistwo i bezbożność. — Proszę się tylko przyrzec ubraniom w tym pokoju. Złośliwie porzrucane — nierównomiernie rozdzielone — dwa miejsca na jedną rzecz, albo dwie rzeczy na jednym miejscu (tylko nie skarpetki). Dlaczego nieraz rano potrzebuję tak nieludzko dużo czasu do ubrania się i pienie się przytem z pośpiechu: ponieważ, myśląc o czem innym, wrzuciłem poprzedniego wieczora spinkę od kołnierza do miseczki do golenia. — — Jeden z mych przyjaciół ma z tego powodu w swej sypialni miednicę, napełnioną po brzegi zapasowemi spinkami do kołnierzy. Ale to fałszywa droga! — Przędzalnię jedwabiu możnaby pędzić siłą koni, jaką ja roztrwoiłem na poszukiwanie prawideł do butów.

Ale co gorsza: opieszałość wcisnęła mi się do duszy, stała się drugą mą naturą. Przecieka ona, gdy wkładam węgle do pieca albo wlewam wodę do kociołka na herbatę — bez

uszanowania — rozrzutnie. Część węgla idzie do pieca — część na piec — reszta obok. Reszta jest większa. A przy kociołku — woda po części wlewa się do wnętrza, po części rozlewa się naokoło, ponieważ ubzdurałem sobie, że nakładanie węgla do pieca lub napełnianie wodą kociołka jest uciążliwym trudem, którego się chcę pozbyć jak najprędzej. — Takim sposobem popełniam grzech. Grzech już powstając, rodzi karę. Kara jest uczuciem cierpienia przez niecierpliwość. Ale jest to kara z procentami od procentów, gdyż muszę stracić więcej czasu — pozierać rozrzucony węgiel — zetrzeć rozlaną wodę — jeszcze więcej trudu — bezmyślne marnowanie siły i humoru.

Poco jestem na tej planecie? Dla szczęścia.

Dobrze. — Jest ono nam przyrzeczone, jeżeli będziemy służyli Panu. Czy służenie to nie tkwi w najmniejszych rzeczach, nawet w tak zwanych trywialnościach życia? Na stole naprzeciwko stoi kilka brudnych talerzy. Czy powinienem pozwolić na to, by w ten sposób obrażały jeszcze dłużej me oczy swą nieczystością? Czy czystość nie jest najbliższą podobieństwem Bogu? Ale w jakim usposobieniu będę je czyścił? Czy przeszoruję je szybko — wcierając sobie przytem w umysł brud jako złość

i nienawiść — kto mi potem humor wyczyści? — Czy zastosuję przy myciu tych talerzy tę samą powagę, tę samą staranność, z jaką malowałbym obraz? Czy zyskam uczucie zadowolenia, jeżeli lekko, pewnie i doskonale z tego obrzydliwego przedmiotu stanie się znowu miły, czysty talerz? Czy nie jest to pobożność? A czy pobożność jest cierpieniem czy też radością?

Myjąc talerze, można służyć dyabłu lub Zbawicielowi. Czyż piekło nie tryumfuje, gdy pozostawię na brzegu kawałki żółtka z jajka i przez użycie zbyt małej ilości wody do mycia posmaruję bezmyślnie ścierkę — siejąc temsamem na jutro nieskończone żniwo małych nieszczęść?

Dlaczego nie wyznaczyłem dla mojej szmaty do mycia stałego miejsca pobytu?

Dlaczego ta smutna, samotna, bezdomna szmata jest zawsze w drodze, by potem, wzięta z drogi, dostała się natychmiast w drogę czemu innemu? Dlaczego stała się męczarnią dla oczu?

Ile razy na nią patrzę, doznaję smutku.

Dlaczego leży na mej duszy jak wilgotny ciężar?

Ponieważ jestem grzesznikiem. — Ponieważ jestem za leniwy na to, by poświęcić parę

minut i wyszukać dla niej stałe, rozsądne i wygodne miejsce. Ponieważ waham się przyjąć szmatę do mej religii — która przecież powinna obejmować cały świat. Ponieważ pogardzam niskiem i małym. Ponieważ codziennie wypadam ze stanu łaski i „nie oddaję każdemu tego, co mu się należy“ (patrz przypadek ze szmatą). Teraz zaprawdę wiem — dlaczego jestem najgorszym z pośród grzeszników.

VIII. Troski świata.

Pomimo wszystko „troski świata“ wdzierają się w strażnicę — warownię, zbudowaną własnymi memi rękami w bagnie Jersey. Po większej części są one — jak zwykle troski — nie warte zachodu.

Czy mam kazać pokryć mój dziurawy dach blachą cynkową, czy też mam go wyreperować ceratą; czy w danym kącie mam jeszcze ustawić parę ław — w jakim celu, sam sobie sprawy nie zdaję; czy następnego lata powinienem sobie kupić piękny niklowany piecyk za siedm i pół dolara, czy też zwyczajny; czy mam uprawiać zboże czy ziemniaki, a jeżeli zboże, to czy lepiej będzie kupić sierp, czy też wypożyczyć go; kto będzie się opiekował

memi kurami i gołębiami, gdy się udam do Bostonu; czy będę miał u golarza dość czasu, by przed odejściem pociągu kazać sobie obciąć włosy; czy mam wziąć toast na śniadanie, czy jaja na toast; czy w tysiącnych sprawach powszedniego myślenia, którychbym się doprawdy mógł wstydzić przed drugimi, będę czynił coś czy nie czynił, będę mógł czy nie zdołam! Cały ten tłum myśli, te plany, spekulacje, życzenia, troski, kaprysy, uprzedzenia wielkie i małe, potrzebne i zbyteczne, tłoczą się często kupą i pospolitują mi duszę w ciągu tej pół godziny, w której brnę od bagniska do stacyi, a bóstwo czyni, co może i bawi mnie wspaniałością wschodu słońca.

A jak ja jeżdżę tam i z powrotem po tej pustej, wyjeżdżonej drodze myśli! Co chwila uderzam o gorzką, starą, tę samą troskę, kaprys, zagadnienie i pozwolę się raczej nudzić całej tłuszczy, zamiast raz na zawsze odepchnąć bodaj jednego jedyne go zbytecznego natręta! Jak wymijające odpowiedzi daję i wymyślam wahania, zamiast natychmiast rozstrzygnąć zadanie na dzień. Jak potem mówię: „Oh, już w sklepie zobaczę, jak się będę czuł z powodu tej nowej miotły“ i „być może, że kupię sobie nową zarzutkę wiosenną — a może

i nie“ — a pytającej myśli odpowiadam: „Proszę się zgłosić przy sposobności jeszcze raz“, co w trzy minuty później ona rzeczywiście czyni i jak potem upieram się przy tem, że widzę swoje kury nie nakarmione, zaniedbane i konające, podczas gdy bawię w Bostonie.

Być może, że i dusza Marty była tak przeładowana służebnością. Obojętnem jest, o co się człowiek troszczy i stara — czy o wyszorowanie do czystości starej pokrywki na garnku z roku 39. po Chrystusie, czy też o wyczyszczenie zarzutki z roku 1900. Marya wybrała „lepszą cząstkę“, nie przez zaniedbanie swych obowiązków, ale dlatego, że nie chciała pozwolić tym ostatnim opaść i opanować się. Ja nigdy nie jestem bezpieczny przed takimi napaściami, przed włóczękami się naokoło mnie troskami.

Wczoraj szedłem do miasta w wesołym, słonecznym usposobieniu. Był to pierwszy prawdziwy dzień wiosenny. Żywioły w swych najłagodniejszych, najmiłszych humorach — pokornie naśladowałem je. Wlokłem się pomalutku ulicą Chambers, kazałem sobie wyczyścić buty jakiemuś włoskiemu nowicyuszowi, oburzyłem się na chwilę na marny „połysek“, pożałowałem tego odrazu, przywołałem

na pomoc łagodność i względność dla biednego chłopca, który starał się uczciwie zarobić na życie, wszedłem w jego położenie — (wówczas zrobiło mi się lepiej) — zapłaciłem mu i pomaszerowałem naprzód w niejednako wyczyszczonych butach — powinszowałem sobie mej dobroci, wypchałem się od góry do dołu duchową wyniosłością i chwaliłem się przed samym sobą, jaką ja to mam ludzką duszę, w porównaniu z tymi wszystkimi surowymi egoistami naokół mnie.

Ludzie przechodzili obok mnie pełni kłopotów, pełni wątpliwości, pełni trwogi — planując, spiesząc się, przędąc myśli, jak to jest ich zwyczajem. Ich twarze, ściągnięte surowymi zmarszczkami od myśli o pieniądzach, nogi puszczone we wściekły pęd naprzód, duchy, popędzające te ciała do coraz szybszego biegu — dusze, opanowane zupełnie „troskami świata“.

Wówczas rzekłem w „swem pocziwem sercu“: Jak to dobrze, że ja nie mam nic wspólnego z tymi grzesznikami. Stoję, Bogu dzięki, ponad temi rzeczami — mnie nie opadają ani nie wiążą już troski świata. Jestem zadowolony, szczęśliwy i bogaty używaniem chwili.

Kto stoi, niech uważa, by nie upadł!

Ma się rozumieć, że wszystko było znowu fałszywem. Nie znam się wcale. Nie znałem siebie nigdy. Od czterdziestu dziewięciu lat próbuję poznać tego gałgana w swem wnętrzu — czasem zdawało mi się, że go znam doskonale i myliłem się! Wyrasta ciągle jakiś nowy rys, nowa wada lub stary błąd w nowem przebraniu. —

Czasem wierzę, że w skórze mojej tkwi pół tuzina indywiduów niby łuski w cebuli, każde ze swemi prywatnemi ceregielami, uprzedzeniami, narowami i pożądaniami, każde z osobna żądające „urlopu“ — by się nażyć, jak marynarze, którzy chcą mieć na lądzie „wolny dzień“. — Straciłem już nadzieję poznania kiedykolwiek tej całej menażeryi. W godzinach zaślepienia nazywam to bogatym „życiem wewnętrznem“.

Przemieniony, pełen spokoju i uważając się za wyższego ponad „troski świata“, pragnąc używać tylko świata, pomyślałem sobie nagle, by pozostałą godzinę w mieście zużytkować na zabranie z mego mieszkania w mieście mahoniowego, obitego mosiężną blachą pulpitu do pisania, który tutaj zostawiłem.

Nie wiem dokładnie, co z nim zrobię. Nie znajdę dla niego zastosowania w moim domu w Jersey. W mieście byłby umieszczony bardzo pewnie. Będę prawdopodobnie zmuszony przenieść go na następnej zimy znowu ze wsi do Nowego Yorku.

Był to tylko przelotny kaprys mój, albo też któregoś innego idyoty.

Był to nietylko kaprys, ale i „troska świata“. Schwyciła mnie, spętała, pognęła mnie do stacji napowietrznej kolei City-Hall, popędziła jak szalonego po schodach w górę, bym mógł dopaść pociągu, a na drugim końcu ulicy wypędziła znowu. Pognęła mnie, wciśniętego w kłęb innej gromady niewolników, do pociągu „uptown South-Ferry“. —

Przybywszy do swego pokoju, przekonałem się, że mi pozostaje o pół godziny czasu mniej, niżbym potrzebował, by dopaść pociągu, odchodzącego do bagniska o wpół do czwartej.

Do użycia tego właśnie pociągu nie nagliła mnie żadna inna potrzeba, prócz kaprysu.

To była druga „troska świata“.

Nie byłoby nic straconego, nikt nie zostałby poszkodowany lub rozczarowany — cały świat pozostałby w swoim *status quo*, gdybym użył

którego z wielu innych pociągów, odchodzących po wpół do czwartej.

Ale opanowała mnie niecierpliwość i pośpiech!

Biegałem naokół i nie znalazłem sznurka, zleciałem po trzech kondygnacjach schodów do najbliższego sklepu, by go kupić — potem znowu na górę, mocowałem się oczywiście z broniącym się pultem — kułakował on i uderzał, opakowanie było niedbałe, a inne przedmioty, (taki już mój los), podstawiały mi nogę w zamieszaniu. Rozdzierałem sobie palce na mosiężnych blachach, pociłem się, kłąłem w duszy, pieniałem się z niecierpliwości. Podły pult nadymał się, gdy go obwiązywałem sznurem, potem znowu się zwęzał i wyskakiwał — wkońcu zerwał się sznur. Cały powalany, wywlokłem pult z domu i do stacyi kolei napowietrznej, wszedłem na fałszywy peron, czekałem dziesięć minut na pociąg, który szedł potem do Harlem, zamiast do City-Hall, wreszcie poszturchałem złośliwy przedmiot znowu po schodach w dół, potem znowu w górę, czekałem przez kilka męczących minut na inny pociąg, przybyłem na ulicę Chambers o pięć minut za późno i znalazłem się wkońcu wyczerpany, bez humoru, z dwoma nudnymi go-

dzinami przed sobą i dwadzieścia funtów wążącym pultem na sobie, na peronie, czekając na pociąg pospieszny, który odchodzi o szóstej minut dwadzieścia.

Kto stoi, niech uważa, by nie upadł!

Ja upadłem! Wypadłem ze stanu łaski — uległem ponęce świata, a na dobytek urojonej, stworzonej przezemnie samego.

Byłem bogaty, zanim ta rzecz mnie skusiła. Byłem bogaty w świadomości, że nie mam właśnie nic do roboty, a mam dość czasu, by sobie na to pozwolić. Bogaty w ciszę serca i zadowolenie umysłu. Nie troszcząc się o nic innego, prócz tego, co się dzieje koło mnie — i we mnie, szła moja dusza za biegiem wewnętrznego i zewnętrznego stawania się, pełna żywego spokoju. Czy to nie jest stan błogi? Czy brat mój Jay Gould, o którym większa część ludzi tak źle się wyraża z czystej zazdrości, może więcej używać? Czy miliony w skarbcu zapewniają spokój? Czy tylko pieniądze same są zawsze na dnie wszystkich „trosk świata”? Nie mogłem na tej historii z pultem nic zyskać, a wydałem przynajmniej za pięć dolarów siły, ducha i trosk!

Troski świata obejmują balowe suknie, które nie są zrobione na czas, rozfryzowane

strusie pióra, spóźnione pociągi — rzeczy, które nie mają nic wspólnego z zarabianiem pieniędzy czy nędzą życia. — I co mnie to wszystko mogło ochodzić? Czy nie mam dość pracy i dość czasu, by módz się oprzeć „troskom świata“? I czy pomimo wszystko codziennie, właśnie gdy sobie wyobrażam, że stoję najsilniej, nie łapię się na tem, jak tracę równowagę — i wypadam ze stanu łaski?

IX. Ta wysoka ściana.

Przy budowie mego domu — przy planowaniu wewnętrznego jego urządzenia, zwłaszcza, że dom ten ma jeden pokój i ja sam zawiaduję całym mieszkaniem — stawiam sobie określony cel: mieć wszystko tak ułożone, żeby można było dostać je, zużywając jak najmniej trudu i czasu. Bo człowiek potrzebuje całej siły, jaką mu dała natura. Ekonomia życia — ekonomia człowieka! — Dlaczego tylko trwonienie pieniędzy, a nie trwonienie siły, uchodzi za duchowe upośledzenie? Ileż oszczędnych gospodyń musiałyby się w takim razie wziąć pod kuratelę.

Wszystkich ludzi, którzy szukają „zabicia

czasu“! Czas — najdroższy — raz tylko istniejący — zabijać — a temsamem zabijać siebie!

Siła oznacza możność radości — i jako z monetą, którą możnaby opłacać drobne akty codziennego życia, należałoby się z nią obchodzić tak ostrożnie, jakby się obchodził człowiek w obcym kraju ze swymi ostatnimi stu dolarami.

Gdy przyszedłem zmęczony do cywilizowanego domu, musiałem nieraz szukać mych pantofli — które ludzie, specjalnie za to płatni, zanieśli do odległej szafy.

To zatruwa życie.

Dlatego zniżyłem wczoraj moją umywalnię o dziewiętnaście centymetrów. Bo gdy sobie myję twarz i ręce, chcę móżdż siedzieć. Chcę to czynić w skupieniu — gruntownie — z uszanowaniem i mieć w tem pewną przyjemność. Jeżeli chcę mieć ruch, to się gimnastykuję — ale stać przed umywalnią! Kto to ludzi w to ubrał? Prawdopodobnie ktoś, komu ta procedura mycia wydała się zgubną koniecznością — odrobiną obowiązku, który należy spełniać szybko i bez radości. — Czy tak być musi! Czy każda potrzeba ciała nie może zostać uszlachetniona przez kulturę, odbydlęcona, że tak powiem — czy

nie stoimy w tem wyżej, niż wszyscy królowie minionych czasów! Czem jest blask — wspaniałość wobec odzwierzczenia ciała w najbardziej powszednich rzeczach.

Przeprowadzenie tego u siebie w domu bez ograniczeń, aż do najmniejszych drobnostek, byłoby dobrodziejstwem, przed którego doniosłością ludzie stawaliby jak przed cudami. Zdjęcie ciężaru z życia przez dom — świątynia wybawienia.

Proszę się przypatrzeć natomiast mieszczkańskiej kuchni. Jedno tylko dążenie zdaje się kierować całym gospodarstwem domowym: z możliwie wielkiem zużycowaniem sił uzyskać minimum rezultatu. Już same garnki — rynki — przedmioty, potrzebne przy gotowaniu, są zawsze schowane, o ile możności najdalej od pieca, w szafie i tak tam ułożone, że zawsze musi się najpierw przesunąć z tuzin rzeczy, zanim się zdoła wydostać to co potrzeba. Inne rzeczy wiszą blisko sufitu lub tak wysoko, że ledwie je dostać można — w pobliżu jest zawsze tylko to, na czem możnaby się sparzyć, lub zranić. Cały kuchenny aparat jest, zdaje się, obliczony na żyrafy, istoty, zdolne do nie-ludzkiego wyciągania się i schylania. Znowu

przykład, świadczący przeciw rozsądkowi. Ileż HP trwoni się codziennie na wysokie ściany!

Czy zauważyliście, że przedmioty, które dostają się na miejsce, wyższe niż ludzkie ramię, okazują tendencję do pozostawiania tam przez długi czas? Dlaczego? Każdy cofa się mimowoli od rzeczy, leżącej wysoko — uczy się obchodzić bez niej — wyklucza ją ze swego życia, podobnie jak i ze sfery ramienia. Tysiące rzeczy, których ludzie potrzebują, za którymi rozpaczają, których często szukają i dziwią się, kto je mógł zabrać — albo gdzie się podziały — te tysiące rzeczy leżą teraz spokojnie i w kurzu na wysokich ścianach.

Czy zauważyliście, jak uprzykrzonym staje się zaraz każdy przedmiot w kuchni czy sypialni, którego na razie nie macie do czego użyć, nie macie dla niego miejsca i który zawsze tam leży, gdzie przeszkadza? Może to być książka, albo pusty kosz na papiery, albo bardzo kosztowna tandeta, nabyta w jakimś drogim sklepie... puchar święty, lub coś podobnego! — Stoi zawsze na innym przedmiocie... a tego innego właśnie potrzebujemy. Zdejmuje się go i stawia znowu na coś innego, czego się będzie potrzebowało w pięć minut potem.

Przeklęty przedmiot dręczy człowieka i zręcznie zachowuje inkognito... trudno poznać, co kogoś dręczy.

Jest to rzecz, która zawsze zajmuje miejsce drugiej.

Jeśli to jest przedmiot do wieszania, to wisi na dwóch lub trzech innych przedmiotach, sukniach — ale lepiej jeszcze zarzutkach, gdyż tych snadniej się potrzebuje. Gdy się chce zręcznie wyciągnąć z pod niego zarzutkę, buch, spada. Wkońcu traci się cierpliwość — wyrzuca się go na wysoką ścianę — a w następnym tygodniu, gdy go człowiek potrzebuje, nie może się nadziwić, gdzie się mógł podzić.

Więc to ma być życie — dwie trzecie życia! I to tylko dlatego, że każda rzecz nie ma dla siebie swego stałego miejsca. — Każdy dom powinienby się rozpaść na części, przeznaczone dla martwych mieszkańców — należałoby przewidzieć i zrobić „pokoje służbowe“ dla rzeczy, by w domu nie było „bezdomnych“.

Być może, że ty mój czytelniku — jesteś wielkim dyplomata, wielkim badaczem lub inną wielkością, albo przynajmniej zdaje ci się, że nią jesteś. Uważasz może tę książkę za dziecinną — a wszystkie rzeczy, o których piszę, za trywialne. Przecież o takich rzeczach

nie pisze się książek! Jesteś wyższy ponad to! Ale pamiętasz może o tem — gdy wszystko zbierzemy razem — jak całe godziny, jeżeli nie dni trawiłeś na urządzenie polowania na twój scyzoryk lub ołówek — najpierw w prawej kieszeni spodni, potem w lewej, potem w kieszeni kamizelki — wzdłuż surduta i z powrotem w kieszeniach spodni, najpierw w prawej — potem w lewej i to zawsze przy ważnej i poważnej okoliczności. I wówczas to cała siła twej potężnej umysłowości wlewała się nie w dzieło, mające poruszyć świat... nie, tylko w dziwienie się, wymyślanie i zastanawianie się nad tem, gdzie u licha podział się ołówek lub cwiker, który później odnalazłeś pod kartką papieru!

X. Wszystko na swoim miejscu.

Jedną z największych trudności jest dla mnie bezwzględne przeprowadzenie w domu prawa: „Wszystko na swoim miejscu“. Narazam się na niebezpieczeństwo, że będę miał na jedną rzecz dwa, trzy, lub tuzin miejsc. Bardzo małą władzę mam dotychczas w tem mojem państwie — a przecież państwo to jest tylko jednym pokojem — przezemnie samego

dla mnie stworzonym. Często wyznaczam rzeczom miejsca i zapominam o nich znowu. Wieszam brytwannę na sześciu różnych hakach. To znów wnoszę do gospodarstwa przedmioty drobniejsze i dopuszczam do tego, że one się wałęsają naokół. Filiżanka, łyżeczka, szmatka, flaszka bez swego stałego miejsca będą napewno wchodziły w drogę innym porządnym i na każdym kroku potrzebnym rzeczom i będą się znajdowały w stanie chronicznego buntu przeciw domowemu spokojowi.

Im więcej kocujących rzeczy, tem zaciętsza walka — tem większa trudność zgniecenia tej rewolucyi. — Oto naprzykład taka kochla — na dobitek żelazna — od całych tygodni wrze między nami zacięta walka. Przynajmniej sześć razy wyznaczyłem jej stałe miejsce i wciąż zapominałem, na którym gwoździu ma wisieć. Rezultat z tego : wisi na wszystkich gwoździach albo leży wszędzie — kulinarny Izmael. Nie ma też nic do czynienia — włóczy się po domu. Płonny szklany dzban jest w temsamem położeniu — pozbawiony miejsca i buntujący się.

Nie wyznaczyłem mu żadnego określonego zajęcia — wędruje tedy bez celu po domu i przeszkadza porządnym i spokojnym dzbanom, które mają swe przeznaczenie — spełniają swe

zadanie i chcą oczywiście, by je pozostawić w spokoju. Głęboko na dnie tego zła leży mój pociąg do kupowania i zbierania wszelkich możliwych rzeczy, jakkolwiek nie wiem, co z nimi zrobię, gdy przejdzie przyjemność kupowania. Mam oko bystre i pełne podziwu. Gdy jestem w mieście — widzę ustawicznie rzeczy, o których sobie powiadam: „Dobrze byłoby to mieć“. Czy to jest gumowa wanna — stół, filiżanka — kociołek na herbatę — wszystkie razem i każde z osobna! „Byłoby dobrze mieć“! Dobrze — poco? Tego nie wiem. Nie mam ochoty zgłębiać tego pytania. Nie dowierzam sobie. Ustępuję w takich sytuacjach mojemu przezorniejszemu „ja“. Gdy tylko widzę, że się zbliża, uciekam precz! — Chcę danej rzeczy dla samego jej posiadania. Chcę posiadania, a nie rzeczy. Jest to instynkt zbierania. Byłem może ongiś sroką i nurzałem się w kupie gnoju, kości i gałganków. Zadowolony z przeprowadzenia mej woli wbrew innej, rozsądnej istocie we mnie, którą jednak niechętnie uznaję za swoje „ja“ — wlokę mój skarb do domu. Teraz rozpoczyna się kłopot. On chce być pielęgnowany — chce mieć swe miejsce — chce być okurzany. Inaczej mógłby się rozbić i sprawić mej duszy boleść. W ja-

kikolwiek sposób domaga się części mej uwagi — mego ducha — mej siły życia — zagnieżdża się we mnie niby pasożyt — gryzie mnie aż do końca moich dni. Taki przedmiot kaprysu degeneruje się zaraz w domu, staje się zarazą. Musi koniecznie zostać oddzielonym lub zamkniętym. „Domy poprawcze“ tego rodzaju dla nieposłusznych rzeczy znajdują się tysiącami w formie piwnic — strychów — graciarni, gdzie wszystkie rodzaje przestępców, od chwiejących się krzesel, do ślepych luster, wiodą swój zbrodniczy żywot.

Taka gromada „wyrzutków rzeczeństwa“ leży w jednym kącie mego pokoju. Kosz nie do użycia, wielka cynowa puszką, mała puszką, pokrywka bez garnka! Do buntowników przyłączyła się cebula oraz dwa kartofle, które to zamarzają, to odmarzają — wreszcie umbra na lampę, którą chowam na dzień, w którym przez pokrewieństwo przyłączy się do niej przeznaczona jej przez Boga lampa tej samej miary. W zagłębieniach tej kupy gnieżdżą się igły, resztki szpagatu i tym podobne rzeczy.

Ile razy patrzę na tę kupę, serce mi się kraje. Bo leży ona nietylko w kącie pokoju, ale i w mym umyśle! Cięży tam ogromnie i — zabiera miejsce jasnym i większym myśлом.

To samo czynią koczujące łyżki, filiżanki i dzbanki. Znacznie korzystniej byłoby je zniszczyć — wobec rzeczy jestem już za karą śmierci! —

Mam kufer, pełen starych ubrań — nie, niestety, niezupełnie starych... tak — *entre deux ages*.

Poco je chowam? Przez oszczędność. Ażeby je jeszcze znosić — w międzyczasie one mnie zużywają. Trzy lub cztery razy w tygodniu otwieram ten kufer, by poszukać czegoś, o czym nie jestem pewny, czy tam jest, czy go nie ma. Na przewracaniu i wyjmowaniu tych starych ubrań trwonię niemało czasu i siły. Czy one są tego warte?

Wyjmuję tęsamą parę starych spodni przynajmniej dwadzieścia pięć razy w roku — rozkładam je na ziemi — potem kładę znowu do kufra, to samo czynię z kamizelką — kostyumentem do wyprawy podzwrotnikowej, którego nie nosiłem od czterech lat — i może już nigdy nie będę potrzebował, oraz trzy do czterech surdutów, części bielizny, kiepskiej lub wątpliwej konstytucji — i po tym całym trudzie i straconym czasie powyrzucam prawdopodobnie ubrania pojedynczo — jedno po drugim. Albo może w odpowiednich odstępach czasu będę

otwierał wązką szparę mego skąpego serca i podaruję mój hełm korkowy żebrakowi, który go zastawi za wódkę, podczas gdy ja się będę unosił i zachwycał mą wspaniałomyślnością i będę się cieszył, że rozporządziłem w ten sposób przedmiotem, który mi ciążył. Albo przywołam może handlarza starzyzną, a jego handryczenie się tak zapowietrzy ten dom, który własnymi rękami budowałem, aby go mieć czystym, że nie zostanie mi nic innego do zrobienia, jak mu go podarować.

Czy nie uczyniłbym lepiej, rozdarowując lub niszcząc teraz wszystko to, co mi się na nic nie przyda? Czy nie uwolniłbym w ten sposób mej świadomości, podobnie jak i kufra? Gdy się zrobi miejsce — przyjdą może lepsze rzeczy.

Morał, jaki wyciągam z tego — jedynie dla siebie, jest (uznając zawsze sfabrykowany w domu morał — zamiast sprowadzanych z fabryk wiary), że nie należy mieć nigdy na horyzoncie myślenia więcej rzeczy, niż się może potrzebować w przeciągu najbliższych czternastu dni! (Wyjąwszy przedmioty sztuki).

Skończmy jednak już na tem z morałem. Ileż niepotrzebnych odpadków dat, rozpadających się opinii, faktów i zdarzeń znajduje się

w mej świadomości, a ja nie mam dla nich zastosowania, ani go nie znam.

Czy, aby uchodzić za mądrego, muszę na nadchodzący dzień już dzisiaj zbierać opinie, fakty, poglądy, które może właśnie nazajutrz okażą się błędnymi? Ileż z tego wszystkiego, co się zwie „wykształceniem“, dobrze jest zachować w pamięci? Czy nie powinno się wyrzucić wszystkich „dat“ i „faktów“, podobnie jak „zarodki zmęczenia“ z mięśni? Najważniejsze, by tylko mięsień pozostał elastycznym i zdolnym do ruchu.

Dlaczego nie uczymy się raczej sztuki zapominania — zaprzepaszczania w umyśle bezwartościowych wiadomości? Czy umysł nasz nie jest pełen blizn, powstałych przez brutalną konieczność wyrywania z niego rzeczy, które uznaliśmy za szkodliwe dla życia? A gdzie są blizny, tępieje uczucie.

I cóżby mi przyszło z tego, gdybym naprawdę znał nazwy wszystkich rzek na świecie i ich długość — działy wodne, wszystkie jeziora i stawy, kotliny, rzymskie prawo i chińskie dynastye, i kiedy Sycylia dostała się domowi Andegaweńskiemu — gdybym znał wszystko, co się zwie „współczesną“ wiedzą. Dlaczego człowiek ma sam czynić to, co każdy leksykon

może zrobić za niego... i który ponadto można zamknąć, gdy się ma dość.

Nie czynić nigdy tego, co ktoś drugi może za nas zrobić. Oszczędzać wszystkie siły na to, co tylko my zrobić potrafimy. Poco ma człowiek dążyć do naśladowania czynności kalendarza, kolejowego rozkładu jazdy lub encyklopedyi?

Czy zauważyliście, że ludzie, którzy wiedzą wszystko od początku do końca, skąd co pochodzi — dokąd się dostaje i jak się przechowuje — że te repetierowe karabiny mądrości, które przy najłżejszem poruszeniu wystrzelają naukę i wiedzę na otoczenie, zajmują przeważnie podrzędne stanowiska? Wiedza tak uciska ich mózg, że im na dzień, na gorącą godzinę, na cudowne „teraz“, brakuje elastyczności — że zawodzą w rozstrzygającym momencie.

Czy rzeczywiście potrzebnem jest uczenie się naprzód mnóstwa rzeczy na wszystkie możliwe sytuacje? Gdybym posiadał konia, któryby się rozchorował, czy nie miałbym wówczas dość czasu na zbadanie, gdzie mieszka weterynarz? Ale nie posiadam konia, a koń, którego nie posiadam, nie będzie może nigdy chory, nie wiem też, gdzie mieszka weterynarz,

ani nie mam ochoty dręczyć się teraz myślą o wyszukaniu go i obciążać mej pamięci jego adresem.

Widziałem tych nieokrzesanych, dziko wyrosłych młodzieńców — nie mieli oni w filisterskim znaczeniu „żadnego wykształcenia“ i stali ze wzruszającym szacunkiem przed byle idyotą, który znał łacińskie cytaty — jak pisali kontrakty i budowali swe wielkie drogi przez Sierry i wykonywali wszystkie potężne dzieła, które obiecywali. Widziałem, jak zaprowiantowywali tysiące ludzi i posługiwali się umysłami dyplomowanych inżynierów! A gdy potrzebowali czynu, albo narzędzia, albo specjalisty — to szli i brali sobie żądany artykuł — opanowywali go — zużytkowywali i potem porzucali.

Nie potrzebuję dwóch teorii o jednej rzeczy — nie potrzebuję dwóch pokrywek na jeden garnek. Nie mogę nosić naraz trzech par spodni — jakkolwiekby nawet pożytecznymi mogły być te części ubrania.

Czy mam dalej dołączać rury do pieca jedne do drugich, wznosić Pelion na Osse — dlatego, że rura do pieca jest rzeczą pożyteczną? Ileż z mej młodzieńczej szkolnej wiedzy było taką nieskończoną rurą do pieca! —

Na co mi właściwie była potrzebną wiadomość, że Kolumb odkrył Amerykę właśnie w roku 1492? Czy mnie ona uszlachetniła? Czy podniosła mnie społecznie? Czy pogłębiła mą siłę myślenia? Czy uczyniła mnie moralniejszym i uczciwszym? Czy umocniła mnie w mem człowieczeństwie? Czy dała mi zaufanie i przyjaciół? Czy podniosła mój kredyt bodaj o dziesięć groszy?

Czemże to było ostatecznie, jak nie zbytym kawałkiem historycznej rury do pieca, która, zachowana w dobrym stanie, była mi przez całe życie uciążliwym trudem? Ile tysięcy lat jeszcze — przypuściwszy, że ziemia wytrzyma tak długo — będzie dla dziecka korzystnym uczyć się, że Kolumb odkrył Amerykę w roku 1492? Później przekonałem się, że i ten kawałek rury do pieca nie był bez wady. Kolumb wcale pierwszy nie odkrył Ameryki. Czytałem, że byli tam wiele stuleci wcześniej Normanowie — a jeszcze wcześniej przebywano już przez cieśninę Beringa... a wkońcu okaże się jeszcze — że pierwszymi Amerykanami byli Egipcianie!

Pozwalam się czasem bawić takimi teoryami, tak jak żongler, który dla sportu waży na swym nosie rurę od pieca, długą na sto

metrów. Ale opieram się przeciw temu, by obowiązkiem moim — jeślibym chciał ucho-
dzić za skończenie kulturalnego człowieka —
było bieganie z panicznym strachem corocznie
do historii i badanie, czy to naprawdę Ko-
lumb odkrył Amerykę w roku 1492... i czy to
jest jeszcze naprawdę rok 1492!

Fakt, że miałbym obowiązek szereg tych
czterech cyfr nosić przez całe życie wypalony
na mym umyśle, jak bydlę swój znak na
przeciwległym organie, wydaje mi się niewy-
powiedzianie niedorzecznym. Wykształcenie
wydaje mi się często systematycznym zbiera-
niem wielu pokrywek do jednego garnka —
wielu drążków do jednej miotły i kilometro-
wych zapasowych rur do pieca!

Czy duch jest koszem na papiery, — gra-
ciarnią — strychem — zawsze pełnym rupieci,
które inni uważają za stosowne tam groma-
dzić? Czy nie jest on raczej zwierciadłem,
które wykształcenie powinno czyścić, ażeby
coraz jaśniej odbijało to, co jest?

Czy i nadal życie ma się rozpadać na dwie
połowy, z których pierwsza ma być spędzana
na napełnianiu, a druga na bezradosnem wy-
rzucaniu?

XI. Utarczka z drzewem.

Ustawienie kilku skrzynek na gniazda dla szpaków między gałęziami wspaniałego dębu, który ocienia mój dom, byłoby mnie kosztowało około pół godziny czasu.

Ten dąb jest dumą mej posiadłości. Jest on dzięki układowi gałęzi symetryczny, obecnie w pełni swych sił, istną świątynią, nie ludzkiemi zbudowaną rękami, skonstruowaną cudowniej niż wszystkie pałace i wedle oceny mego bliźniego, dobrym na opał lub na progi kolejowe.

Dążąc do umieszczenia na nim skrzynek na gniazda przekonałem się, że wśród jego gałęzi mieszka przewrotność.

A może jest to tylko pragnienie, aby w żaden sposób nie być obciążanym, co jest rysem silnego charakteru i wybitnej indywidualności zarówno czy to chodzi o mężczyzn, o kobiety czy dęby. Chciałem umocować gniazda około dwadzieścia stóp nad ziemią.

Oparłem drabinę o pień drzewa. Drzewo nie chciało pozwolić na to, by drabina oparła się o jego szeroki pień.

Jakkolwiek obracałem i zwracałem drabinę,

ustawicznie odbijała się od małych, ale twardych gałęzi, mocnych jak sprężyny.

Zwalczały one drabinę i odpierały skutecznie każdą jej próbę zbliżenia się.

Próbowałem przemycić drabinę między te uparte małe gałązki. Opierały się z zupełną inteligencją każdej taktyce.

Zaledwie jeden koniec drabiny się wsunął, któremuś z pazurów gałęzi udawało się schwycić drugi koniec. Przez cały ten czas ja — ludzka, ruchliwa maszyna u stóp drabiny — zużyłem wiele siły na te daremne próby.

Bo była to staromodna, bardzo ciężka drabina — drabina malarska.

Pomyślałem sobie: te gałęzie muszą ściąć.

Z ziemi nie mogłem ich dosięgnąć, nie można ich było również ściąć z drabiny, póki ta opierała się o nie — bo wówczas ściąłbym niejako i siebie.

Ścinanie siekierą okazało się niewykonalnym, bo nigdzie nie mogłem się tak oprzeć, by wykonać skuteczne cięcie.

Uciekłem się do ręcznej piły. Stojąc na mej małej drabince, mógłbym odpiłować gałęzie.

Ustawienie drabinki dość blisko drzewa, było zadaniem ogromnie trudnym, gdyż grunt

był nierówny i należało go najpierw sztucznie zniwelować, aby zyskać pewną podstawę.

Wówczas przyszło mi na myśl, że właściwie jestem bardzo daleki od zawieszenia na drzewie tych gniazdek.

Każdy potrzebny i naturalnym się wydający krok zdawał się oddalać mnie coraz bardziej od właściwego czynu — mianowicie od przybicia skrzyneczek.

Rozpocząłem od usiłowania oparcia drabiny o pień. Gdy jednak duch i ciało musiały ustąpić wobec uporu owych gałęzi, porzuciłem gałęzie, zeszedłem na ziemię i zacząłem kopać ziemię rydlem i łopatą.

Pomyślałem sobie: „Jestem jednak ciekawy, jak daleko będę musiał odejść od gniazdek, by się do nich dostać“!

Czy i to należy do grupy tych życiowych awantur, które wabią udaną prostotą, wyglądają na dzieła, na które wystarczy jeden dzień, a kosztują potem lata?

Całość wyradza się w każdym razie w pojedynkę między mną, a tym wcale sympatycznym gentlemanem, drzewem. Postanawiam powstrzymywać się od wszelkiego pośpiechu, od wszelkiej irytacji i przypatrywać się tylko,

kto z nas dwóch zostanie panem sytuacji. — Z linii powietrznej między mną a mem zadaniem są nici — teraz trzeba walczyć krok za krokiem, pierś przy piersi.

Drabinka sympatyzowała z drzewem i była zupełnie głupia, trudna do ustawienia z powodu gruntu; gdy stanąłem na niej, zataczała się to na prawo to na lewo, to znowu w inną stronę, w niedołączny, bezradny sposób — podczas gdy w domu może być zupełnie prosta i zadowolona. Całe to podstawianie nogi było uderzającym w oczy przykładem tego, co jeden z mych przyjaciół zwie „kompletną bezwstydnością martwych rzeczy“!

Wkońcu wszedłem na drabinę i rozpocząłem piłą operację na gałęzi numer I.

Ponieważ gałąź była zielona i pełna soku, piła przylepiała się i utykała w uparty sposób.

Na najwyższym stopniu drabiny stałem drżący i niepewny.

Piłowałem i troskałem się myślą o możliwym złamaniu nogi lub karku — co targało i szarpało me nerwy aż do wyczerpania.

Gałąź nr. II. wymagała zmiany miejsca drabiny i ponownego zniwelowania gruntu.

To samo nr. III.

W czasie, gdy te trzy gałęzie spadały na

ziemię, zapomniałem prawie o pierwotnym celu całej czynności — i pełen byłem zdumienia, poco ja właściwie to robię?

Wkońcu gałęzie zostały usunięte z drogi — która zdawała się być wolną. Podniosłem ciężką drabinę w kierunku drzewa — oparła się na niem pewnie. Zacząłem wychodzić w górę, trzymając jedno z gniazdek w ręce, aż nagle w dwóch trzecich wysokości usłyszałem za sobą trochę podejrzany trzask i przekonałem się, że w lewej stronie drabiny zrobiła się od góry do dołu szczelina i że kark mój jest w większym niebezpieczeństwie, niż kiedykolwiek. Szybko, ale ostrożnie zeszedłem znowu na dół.

Musiałem teraz naprawić drabinę. Tymczasem zawieszenie gniazdek dla szpaków majaczyło w coraz większej oddali.

Powiedziałem sobie: „Ciekaw jestem, dokąd mnie jeszcze zaprowadzi to przedsięwzięcie — które zdawało się tak niewinnem! Przybić kilka gniazdek! Czy teraz gniazdka przygwożdżą mnie w trudzie aż do końca dni?”

Czego tutaj jeszcze będzie potrzeba! Może to przybijanie doprowadzi mnie do naprawienia mego kurnika, albo może do miasta — może do Europy! Wkońcu wpadnę jeszcze

w ręce hordzie dzikich adwokatów, przez rozwinięcie się jakiegoś bocznego problemu — przez krok na bok — coś pośredniego, co się rozwinie z afery gniazd dla szpaków. Już teraz kosztuje mnie ona trzy i pół godzin pracy zamiast zamierzonych trzydziestu minut. Ale czuję w sobie ducha wojny. Jestem gotów na wszystko. Chcę się poświęcić cały dla tego celu, wedle najlepszych chęci, woli i możliwości. Stało się to kwestyą mego honoru. Same gniazdzka niech licho porwie.

Naprawiłem starannie drabinę, przybiłem wewnątrz i zewnątrz metalowe paski — i ustawiłem ją wkońcu w należytej pozycji.

Z gniazdkiem w ręku zacząłem znowu drapać się po drabinie w górę.

Znalazłszy się na ostatnim stopniu, przekonałem się, że nie zdołam dostać się z gniazdkiem w ręce na odpowiednie miejsce. Zeszedłem więc znowu na dół, złożyłem skrzyneczkę na ziemi, wyszedłem znowu na ostatni stopień i zacząłem się stamtąd piąć w górę rękami i nogami.

Jeszcze więcej trudności! Konary przychodziły z daleka, by mi zastępować drogę — gałęzie chciały mi wydrapać oczy! Kawałeczki zeschniętej kory spadały ustawicznie z góry!

Jeszcze więcej obcinania! Zeszedłem więc znowu na dół po siekiere, zabrałem ją i zacząłem sobie z jej pomocą torować drogę w górę drzewa. Teraz, gdy wszystko zdawało się być gotowe, zeszedłem na dół po skrzyneczkę, potem znowu do góry. Musiałem zabrać ze sobą młotek, obcęgi i kilka gwoździ.

Przywiązałem sobie na sznurku młotek na szyji, obcęgi i gwoździe włożyłem do kieszeni kamizelki. Zdrowy rozum ludzki albo kilka sekund zastanowienia, co na jedno wychodzi (rozum jest zabieraniem czasu), byłyby mnie pouczyły zostawić na wszelki wypadek siekiere wbłą w drzewo. Ale nie. Zrzuciłem ją na dół z drzewa. Musiałem więc z jej powodu zejść znowu po drabinie na dół.

Te nieustanne wychodzenia i schodzenia zaczęły mnie już niepokoić. Zdawały się nie mieć końca. — Jeżeli tak będzie szło dalej w tem tempie, to cała ta historia zamieni się w jakiś wieczny sen — podobny do wychodzenia i schodzenia aniołów po Jakóbowej drabinie, ale ciągle — bez skrzyneczek na gniazda.

Ukończyłem robotę wśród gałęzi z pomocą siekiery i właśnie chciałem zwrócić me myśli znowu w kierunku młotka, gdy instrument ten —

który miałem zawiązany na szyji, nagle przy szybkim mem pochyleniu fiknął prędko koziołka, wysunął się z węzła i spadł prosto na ziemię.

Spadł przedziwnie prosto przez gałęzie — trzeba mu to przyznać — i leżał na ziemi z upartą i zrzędną miną, jakby chciał powiedzieć „zejdź na dół i podnieś mnie“.

Nie zeszedłem odrazu na dół.

Oparłem się o jedną z gałęzi i kląłem na młot. Ale on nie wstał — rzeczy, skoro im się tylko podoba, mogą być takie martwe! —

Potem przyszło mi na myśl, jak wesołem musiałyby się wydać to wszystko komuś trzeciemu, któryby nie miał nic lepszego do czynienia, jak patrzeć na to widowisko. Pomyślałem sobie: „Dlaczego ja nie mam być tym trzecim?“ Ale wnet zastanowiłem się nad tem, że ten trzeci siedziałby tylko i bawiłby się, podczas gdy ja prócz tego musiałem wchodzić na górę i schodzić. Pole działalności było zbyt wielkie! Nie mogłem się bawić z całej duszy, a równocześnie wykonywać całej pracy.

Zeszedłem więc znowu na dół z tak wielką cierpliwością, jaką w pośpiechu można zebrać. Podniosłem młotek. Byłbym mu chętnie skręcił kark. Co jednak może przyjść człowiekowi

ze skręcenia młotkowi karku? Nic, poza koniecznością kupienia nowego młotka.

Podniosłem więc młotek, jak sobie tego życzył i znowu zacząłem iść po drabinie w górę.

Wśród pozornie szybkiego postępowania naprzód roboty zjawiała się nowa trudność. Dąb zmienił taktykę i wezwał na pomoc nowego sprzymierzeńca. — Kure — jedną z moich kur! Drzwi domu zostawiłem otwarte. Kura weszła przez nie, skoczyła na stół, poczęła zjadać resztki mego śniadania i głupimi swymi pazurami groziła zniszczeniem wszystkiemu, co kruche i łamliwe.

Ta kura specjalnie sekuje mnie więcej, niż wszystkie inne razem. Podczas gdy tamte uszkadzają tylko obce pola, ta włóczy się naokoło domu, myśląc tylko o kradzieży i plądrowaniu.

Zawołałem z góry kilka razy „choo“! ale bez skutku. Nie chciała uciec. Przyjęła tylko mój rozkaz w sposób, pozbawiony szacunku. Wiedziała, że miała dosyć czasu do dmuchnięcia, zanim zejść z drzewa. Zacząłem robić groźne uwagi. Wykrzywiła powiekę — mrugnęła w pogardliwy sposób i skoczyła obu nogami w kawę. Nadaremnie rzucałem gałęzie do pokoju.

Zeszedłem więc na dół i wściekły wypędziłem ją z domu. Oddaliła się — w sposób, w jaki się kury zawsze oddalają z miejsc, nie dla nich przeznaczonych — na najdłuższej drodze, groźna dla wszystkiego, co kruche, dzięki trzepotaniu skrzydeł i głupim nogom, z mnożeniem gdakania i hałasu, jak gdyby przeszkodzenie jej w spokojnem zajęciu obracania resztek mego śniadania w piękne świeże jaja dla mego użytku, było z mej strony oburzającym postępowaniem. Awanturom jej sekundowały wysiadujące jaja krewne, które głośno i z całego serca potwierdzały jej mniemanie o mnie.

Tak zburchany wyszedłem znowu po drabinie w górę i stanąłem w pozycji, wygodnej do przybijania skrzyneczek. Było to ciężkie zadanie. Musiałem dostosować me ciało do kształtów drzewa — do rozmaitych zgięć i konturów gałęzi. W jednej pozycji nie mogłem wykonać żadnego porządnego uderzenia młotkiem, w drugiej znowu nie zdołałem wyjąć gwoździ z kieszeni skutkiem tego, że przeszkodził jakiś mały członek drzewa.

Do tej pracy brakowało mi zawsze albo ręki albo nogi. Zdawało mi się, że mógłbym tu i tam zająć sześć do ośmiu tych członków. Zda-

łem sobie nagle sprawę z korzyści, jakie miałyby przy tej robocie pewne gatunki małp.

Wdzięcznie i zgrabnie owinęłoby się silne i ruchliwe przedłużenie kręgosłupa około jednej z gałęzi, podczas gdy cały materiał rąk i nóg zostałby do rozporządzenia dla innych celów.

Rozentuzjazmowany i rozgrzany takimi rozważaniami, usłyszałem nagle, że na ziemię coś cicho spadło. Były to obcęgi, których właśnie w tej chwili potrzebowałem. Wysunęły się z kieszeni kamizelki. Za nimi wysunęło się łagodnie kilka gwoździ. Wtedy ogarnęła mnie wściekłość.

Ale obcęgi nie wstają i nie chodzą, podobnie jak i młotki. Zszedłem więc znowu do obcęgow zwyczajną drogą, prowadzącą z drzewa na dół.

Wychodząc zmęczony w górę, zastanawiałem się nad tem, czy przykazanie: „Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego“, odnosi się także do młotków i obcęgow.

Przybiłem skrzyneczki do drzewa. Wszystko zdawało się iść gładko. Ukończyłem dzieło i schodziłem po drabinie na dół — jak sądziłem, po raz ostatni. Podziwiałem przez chwilę z dumą te cztery skrzyneczki, odjąłem

od drzewa drabinę i zawlokłem ją do dalekiego kąta. Potem raz jeszcze przyjrzałem się skrzyneczkom i przekonałem się, że najwyższa z nich wisiała tylko na naderwanym kawałku kory i bezradnie kołysała się na wietrze w tę i tamtą stronę, gdyż gwóźdź nie przedostał się do pnia.

Nie chciałem uledez. Zebrałem siły — skupił się we mnie cały mój upór — stałem się twardy z zaciętości. Chciałem przeprowadzić swoją wolę, a nie zawiesić gniazda dla szpaków; muszę zwyciężyć ten wspaniały dąb. Szybko przystawiłem znowu drabinę i przymocowałem na stałe skrzyneczkę. Potem czekałem zupełnie spokojnie, co się dalej stanie! Jaka nowa podłość ze strony dębu. Ale nic się nie stało. Zwyciężyłem.

W ciągu tygodnia kilkanaście szukających mieszkania parok ptasząt oglądało domki. Wydawały mi się bardzo wybredne i niezdecydowane.

Gdy zaczynałem pisać tę historię, zdawało mi się, że z jej troku zwiśnie albo wyrośnie w dziwny sposób jakiś morał. Teraz, gdy skończyłem, nie znajduję żadnego.

Wydaje mi się tedy rzeczą delikatniejszą i taktowniejszą pozostawić woli czytelnika

wyszukanie swego własnego morału i zastosowania go przy sposobności. Za wiele poprzednio chodziłem po świecie i przyklepałem ludziom na skórze moralny synapizm, nie troszcząc się o to, czy go chcą, czy nie chcą.

I żaden szpak, żadne dzięcioły — nawet najmniejsze ptaszki, nie chciały nigdy mieszkać w tych skrzyneczkach.

XII. Pospólstwo w duszy.

Istnieje ze czterdzieści rzeczy w domu, które „powinnoby się zrobić“... jak się zazwyczaj mówi.

Samowar ciecze i należałoby go dać zalutować. Podłogę trzebaby zamieść. Pokrzywiony fotel bujający złamał kark. Są również dziury na dnie ponurych skarpetek. Jedna puszka z konserwami zapleśniała i wymaga odczyszczenia. Ławki należałoby pościierać. Jedna krokiewka wypadła z kojca. Plany dla mej architektury ogrodowej dojrzewają powoli, a jedna z kur zaczyna wysiadywać jaja.

Należałoby napisać dwa listy — porąbać trochę drzewa i przynieść wody. Trzebaby zamówić u piekarza chleb, a przede wszystkim — co ważniejsze, niż chleb — wielki, gruby tort malinowy. Trzeba wstawić wybitą szybę.

Potrzeby nie mają końca — i w pięciu minutach mogę znaleźć dla siebie więcej roboty, niżbym mógł podołać w jednym miesiącu. Po-tem trzeba by nalać nafty do lampy... A gdzież znowu zniknął ten nóż? Drzewo również nie przyszło...

Każda z tych potrzeb reprezentuje indywiduum — wymaga czasu, uwagi, pracy. Wdzie-rając się do mnie wszystkie razem, tworzą pospólstwo — tłuszcze duszy i nie pozwalają mi wogóle nic uczynić. Czasami cała ta hałaśliwa banda napada na mnie, każde wypowiada swoje życzenie i upiera się przy tem, bym je najpierw obsłużył.

Próbowałem uspokoić je gorliwością, zadowalniałem je jedno po drugim, jak się dało najszybciej.

Ale metoda ta nie była skuteczną.

Nie zadowolniłem żadnego — nie zrobiłem niczego porządnie i nie spełniłem ani swojego, ani ich życzenia.

Trudziłem się nad naprawą kurnika, podczas gdy duch mój wędrował do kuchni, do chleba, znajdującego się w piecu.

Ponieważ uwaga moja odwrócona była od młotka, ten zesunął się na mój wielki palec, zamiast iść na gwóźdź i urwał kawałek skóry

i mięsa. Wtem dał się czuć zapach przypalonego chleba. Przypalił on się rzeczywiście. Ciało w kurniku — duch w rurze pieca — wprowadzają zamieszanie w rzeczy; i z tego zamieszania ja miałem rozbity palec, przypalony chleb, źle naprawiony kurnik — a co najgorsza: utraciłem wesołość, siłę serca i radość. — Próbowałem napisać prywatny list. Duch mój powlókł się do szczotki, która leżała na ziemi. Stylizując następne zdanie, wstałem, by podnieść szczotkę i przy tworzeniu imiesłowu przewróciłem garnek z czerwoną olejną farbą. Znowu kłęb zmieszanej razem materyi i ducha.

Następnego dnia tłoczył się znowu naokół mnie ten sam kłótniwy mob.

Wówczas powstałem i dorosłem do wysokości sytuacji. Powiedziałem: „Niech umilknie ten hałas i to najpierw w mym umyśle. Chociażby w domu miał panować chaos, chociażby się nie wiem co działo, będę robił odtąd tylko jedną rzecz naraz i tylko taką ilością ducha i ciała, którą zdołam skontrolować. Precz mi stąd! Apage! Dopóki się nie przekonam, co jest koniecznem, a co nie — kto oznacza prostu pożytek, a kto konieczność, co należy do obecnych potrzeb, a co bez szkody może się stać jutro“.

Tłuszcza zmaląła do kilku zaledwie indywiduów. Oprócz odrobiny rąbania drzewa, przynoszenia wody i jeszcze dwóch czy trzech innych „przymusów“ nie było żadnego, które nie mogłoby czekać. Gdy załatwiłem się z koniecznościami, zwróciłem się do niekonieczności, kazałem jednej po drugiej występować, odpowiadać, gdy była zapytana — potem spokój — i precz!

Jedną z nich był mój ogród. Uszlachetniam kilka dziko rosnących roślin z okolicy, wygrzebuje je z pobliskich zarośli i przesadzam na mój grunt. Chcę pozwolić nażyć się tym kwieciwym dziczkom i widzieć, co z nich będzie.

Przesadziłem cztery młode cedry i zasadziłem w środku wspaniały, dziki gatunek winorośli, której zwyczajnej nazwy nie znam, a której botanicznej nazwy znać nie chcę.

Dotąd wszystko szło dobrze. Pracowałem w spokoju i radości, uważałem to wszystko za zajęcie odświętne, gdy nagle zrodziła się we mnie ambicya uczynienia z młodych cedrów kilku kręgów i alei i napełnienia reszty przestrzeni mnóstwem innych roślin. Zanim się spostrzegłem, ambicya ta wzrosła, posiadała, opanowała mnie. Zacząłem uganiać, jak wściekły, między zaroślami a ogrodem, z rękami

pełnemi powyrywanych roślin i zasadzałem je. Duch, daleko mnie wyprzedzający, krzyczał i popędzał moje członki, jak dozorca niewolników.

I znowu jedno z tej tłuszczy życzeń, planów, kaprysów, albo jakkolwiekbyśmy to wszystko inaczej nazwali, wzięło mnie potajemnie w niewolę i uczyniło sobie posłusznym.

Wypuściłem wszystko z rąk, usiadłem natiychmiast i rzekłem: „Niech ustanie ten bunt — tak, i ten; musi być porządek. Nie chcę służyć rozkazów ani wszystkich razem, ani żadnego z osobna“.

Wyrwałem z korzeniami ambicje urzędnika ogrodu i doprowadziłem wszystko do poprzedniej objętości.

Wówczas zrobiło mi się lepiej.

Ten bunt został zgnieciony. Ale jeszcze nie wszystkie inne. To państwo ducha było przez długi czas bardzo źle rządzone i tkwi w niem coś, jakby nieposłuszeństwo. Dawni rozbójnicy włóczą się blisko granic, zawsze gotowi do napadu.

XIV. Taczka pełna zgryzoty.

Był dzień deszczowy. Bardzo wilgotny. Bardzo ciemny. Uparta, przesiąknięta wilgocią

nędza. Bestyalskie niebo. Byłem zupełnie rozstrojony. Wyrzebywałem niektóre dawne cierpienia z ciepłego popiołu przeszłości — pożyczyłem kilka nowych trosk z przyszłości i postawiłem wszystko pod potężny i doskonale skonstruowany mikroskop chorobliwej fantazy, który oddaje prawie dziesięciotysięczne powiększenie smutku, a przy odpowiednim przestawieniu także zmniejszenie wszystkich radości.

Instrument pierwszorzędnej wartości.

Powiedziałem światu w oczy, że na nim nawet najgorszy pies żyć nie może, że jest wstrętnym i wogóle hołotnym. Że życzyłbym sobie tylko sądu ostatecznego, mimo łączącej się z nim brudnej nieśmiertelności, by raz móżdż powiedzieć parę mocnych słów odpowiedzialnym władzom.

W przeciągu niecałej godziny urządziłem sobie obszerny i duży Hades — ściany aż do góry z mozaiki ze skorup wszystkich ludzkich nadziei, szczęście we wiadrze ze śmieciami, miłość, jako kopcząca latarnia stojąca w ciemnym kącie.

Wkońcu wszystko było tak okropne, że przyszło mi na myśl... teraz jest już może wystarczająco okropne. Było

to w każdym razie więcej, niż mogłem znieść.

Powiedziałem sobie w duchu: „Jestem zadowolony“.

Wszystko, co można było wziąć, wziąłem! Poznałem wszystkie głębie tej zgryzoty. Dlaczego teraz jeszcze cała ta posepność? Wczoraj słońce świeciło wcale jasno. To samo słońce świeci gdzieś i dzisiaj. Nawet przekłete deszczowe chmury są przez nie oświetlone z drugiej strony. I ja mam dzisiaj tę samą świadomość, co wczoraj. Czy jestem heliometrem lub hygrometrem, by trochę światła, trochę wilgoci w powietrzu zmieniało zupełnie me poglądy?

Zapewne, śmierć i brud krajobrazu wdzierają się i do człowieka.... Nikt nie schodzi do ciemnej piwnicy, by przeżyć wesoły dzień.

Ale są istoty, które opierają się takiemu ciśnieniu z zewnątrz i one są nawet bliższe naturze! Ptak śpiewa tam w deszczu zupełnie zadowolony. Co on robi, by zostać w dobrym humorze?

Wśród ludzi, mieszkających we mnie jest jeden, który czasami daje rady i proponuje pewne rzeczy. — Nie jest on wcale moim faworytem! Brakuje mu przede wszystkim taktu.

Ma coś natrętnego w sposobie, w jaki zawsze się zjawia, właśnie, gdy mam jakiś inny zamiar, o którym on nie potrzebuje wiedzieć.

„Może mi pan pozwoli zaproponować sobie pewną rzecz“, rzekł. „Nie chcę się, broń Boże, narzucać z mą radą. Wiem, że to jest nieprzyjemne. Ja sam tego nie lubię. Nie mogę jednak wytrzymać“. Taki kaznodziejski sposób mówienia, jakby chciał dać do poznania: jestem lepszy, niż ty; trudno to doprawdy przełknąć. Prócz tego człowiek ma już tego za dużo. Każdy zdaje się nosić w kieszeni próbkę — nie dla siebie — dla drugich.

A jednak pozwoliłbym sobie zrobić pewną uwagę; proszę mnie posłuchać tak, jak pan przysłuchuje się śpiewowi tego ptaka.

Wie pan, czego pan chce. A to już bardzo dużo. To nawet doskonale. Prosty zysk. Chce pan zawrócić swe myśli z tej ponurej krzywej, po której teraz bieżą. W tym wypadku jest dla pana rzadkiem szczęściem, że pan może tego wogóle chcieć. Większa część ludzi jest na to zanadto żądna użycia i pozwala swemu duchowi wędrować wiecznie tam i z powrotem po tej samej ponurej drodze — perypatetycy smutku i jego orgii. Bo podobnie, jak stara lwica swoje młode, tak strzeże człowiek

swoje zmartwienia przed każdym, ktoby mu je mógł odjąć. Świat jest dlatego tak pełen nieodpokutowanych win, że ludzie za nic w świecie nie sprzedaliby doznanej krzywdy. „Kto posiada, temu będzie dodanem“ — powiada Pismo. Równe wartości przyciągają się tajemniczo nawzajem, dlatego niech strzeże się smakosz cierpienia — pasya jego jest najbardziej rujnującą, jaka istnieje.

Pan jednak chce wydostać swój nastrój z ponurych ciemności, by zakwitła panu jasna przyszłość.

Niech pan więc potoczy owe taczki do składu drzewa; niech pan je popycha jak najuważniej. Niech pan uczyni sobie z tego sport, najpoważniejszą rzecz na świecie; niech pan je toczy przez ściernisko do placu z drzewem z możliwie najmniejszym zastosowaniem pracy, z inteligencją i chytryością, ażeby uniknąć wszystkich dziur, kamieni i kałuży na krzywej; niech pan rzuci całą swą świadomość do taczek! Przybywszy na plac z drzewem, niech pan je naładuje, ułoży polana ostrożnie i inteligentnie, jak się da najwyżej, a jednak tak zręcznie, by się żadne z nich nie zesunęło. Potem niech pan je pcha znowu przez łąkę do domu, z tą samą uwagą. Gdy pan wniesie

drzewo do domu, to niech go pan nie rzuca obok pieca, jakby odtrącał od siebie węża! Niech ułoży ładną, zgrabną warstwę, a potem przekona się, czy razem z tem drzewem nie zdjął ze siebie także wielkiej porcy wewnętrznej zgryzoty“.

Ma to w sobie coś z recepty siedmiu kąpielii w Jordanie, którą przepisano biblijnemu generałowi na jego cierpienia — pomyślałem sobie. — Ale ponieważ tamte pomogły — dlaczego ja nie miałbym spróbować szczęścia z taczkami. —

Stało się to najtrudniejszym czynem mego życia! — Posuwałem taczki przez kawałek drogi jakby dla zabawki bardzo poważnie skupiony, wyciągałem z nich największą ilość siły, czyniły co mogły — rasowe taczki — unikałem grud, kamieni i większych dziur, szedłem po ziemi jak irlandzki rasowy ogier. Zaraz mi się znacznie ulżyło. Zdawało mi się, że taczki wywożą mnie z Hadesu. Ale niezadługo, zupełnie nieświadomie, nowe napięcie ustało — ustała dbałość o me dzieło. Biegliśmy znowu po dwóch różnych krzywych — taczki i ja — one swoją drogą, moje myśli znowu starą, kamienistą, błotnistą rynną żalu i trwogi.

— Rozkoszne dni, które nigdy nie powrócą. — I poco to wszystko. Jak nieobecni nigdy nie wracają, albo jeszcze gorzej: wracają zmienieni. Cała bezsensowność. Mijające lata, starzenie się, te „ach jej“ i „ach tak, takim jest życie“, przy których zawsze jakieś gorzkie opowiadanie zagina na końcu ogon.

„Widzisz“ — ozwał się mentor — znowu wpadłeś w bruzdę; ale to nic nie szkodzi — to stare i miłe przyzwyczajenie! Drzwi do Hadesu otwierają się tak łatwo; zawsze są świeżo naoliwione. Wzamian za to drzwi do wesołości są zardzewiałe. Wiele pracy w perspektywie! Próbować i błędzić i błędzić i próbować i błędzić, błędzić — błędzić — znowu próbować — i znowu to samo — przez długi czas. — Niema innej drogi. Na końcu pewne wyleczenie — ale trzeba wiele czasu, by wyleczenie było trwałe. Jest to kawałek „zrobienia szczęścia“. Jeżeli się doprowadziło do tego, by skierować myśli na dowolnie wybraną rzecz, powiedzmy na dziesięć do piętnastu minut — wówczas zostaną tam same z siebie — póki się ich nie odwoła.

Znowu zabrałem się do dzieła — posuną-

łem się jakich dwanaście kroków dalej — ale znowu me ulubione zmartwienie stanęło w drodze taczkom. Tak je lubię — więc dałem spokój posuwaniu. Mówiło ono (a ono ma przecie słusność): Gdyby tak i tak, tylko nie tak i nie owo mi gadano. Wiem, że po części nie miałem słusności (a jestem taki sprawiedliwy). Ale nie posunąłbym się nigdy tak daleko, by mówić — albo myśleć — albo czynić...

„Ale... gdzież pan jest znowu“, — ozwał się doradca — „z pewnością nie przy taczkach“.

Zacząłem znowu pracę. To doprawdy skandal, nie móżdż opanować swych myśli nawet na dziesięć sekund. Co za słabość — co za niedołęstwo.

„Jesteś pan znowu w innej bruździe“ — upomniał mentor. — „Myśl pan o swej pracy, a nie o swych słabościach“.

„Ja myślałem właśnie o tem, jaką słusność pan ma“.

„I to teraz pana nic nie obchodzi, czy mam słusność. Obchodzą pana taczki. Niech pan zostanie przy taczkach. Pracuj pan nimi na swe szczęście — szczęście godziny — szczęście minuty“.

Posunąłem się dwanaście kroków dalej. Potem powstała znowu moja ulubiona

obawa — czarna jak górski huragan i dusza moja, spowita w zasępienie, śniła: Wszystko pójdzie niepomyślnie — zawsze idzie niepomyślnie. Przy moim pechu. Wpadłem w to fałszywe położenie; nikt mi nie uwierzy! Co mam mówić! Co...

„Taczki — taczki“ — ozwał się znowu mój mentor. — „Do kątów z taczkami“, buntowałem się. „Chcę mózdz rozmyślać w spokoju o mych nieprzyjemnościach, bo inaczej nic mi z nich nie przyjdzie. A zresztą. Co za śmieszny pomysł, skierowywać całą uwagę na tak podrzędny przedmiot, jak te bezcelowe taczki i zaniedbywać dla nich ważne sprawy życiowe“!

„Święty Pafnucy“ — ozwał się znowu mentor. „Niechże sobie pan pozwoli powiedzieć, że ważne sprawy życia są tem, co pan zwie małemi. „Wielki styl“, to chwalba i duma dyletantyzmu. „Myślenie o przyszłości“, to dobrze brzmiące określenie niezdolności myślenia w teraźniejszości. Teraz zaraz... teraz... teraz, teraz, to jest jedyna rzeczywistość, jaką znamy, jedyna, która działa. Z oczek codzienności, cogodzinności tka się los. Krzemień na szynie powoduje wy-

kolejenie się pociągu. Odrobina arszeniku, zostawionego przez niedbalstwo w szafie i użytego zamiast proszku do pieczenia, zabija całą rodzinę. Drabina, której wam się nie chciało porządnie ustawić, łamie wam kark. Łyżka pełna potrawy, której zawartość strząsacie w gardło, jak ziarno do młyna, psuje wam żołądek, o co się potem rozbijają wielkie radości i wielkie przedsięwzięcia. Niewyraźnie napisana litera, która z „t’wój“ robi „s’wój“, doprowadzi cię do najpoważniejszego konfliktu z przyjacielem“.

Tak gderał dalej mój mentor, podczas gdy ja, folgując znowu swym myślom, śniłem o wprowadzie tylko możliwej, potem jednak bardzo przykrej rozmowie z pewną osobistością: „Gdy się z nim zobaczę — gdy do niego pójde, to uczynię to w łagodnym i cierpliwem usposobieniu, z zamiarem pojednania — już naprzód chcę się wprowadzić w ten nastrój i utrzymać go“.

„Nie potrzebuje się pan naprzód wprowadzać w nastrój“, rzekł mentor. „Nie potrzebuje pan uprzedzać teraz myśli ani słów, które pan za dziesięć dni będzie myślał lub mówił... Bo jeżeli pan jest żyjącym człowiekiem i ma chociażby za dwa grosze temperamentu, to będzie

pan jednak wówczas co innego myślał i mówił — ale pan woli być aktorem i grać teraz właśnie, gdy niema przytem przeciwnika i pan jest pewny roli bohatera.

Tymczasem teraz ma pan wieść taczki, skierować na tę czynność wszystkie swe zdolności. Niech pan zostawi przeszłość samej sobie.

Niech pan ma wzgląd na swe pożałowania godne ręce i nogi. Jakież bóle mięśni zbiera pan sobie na jutro skutkiem tych zmyślonych rozmów. Niech się pan nie troszczy o to, co będzie, ale o taczki“.

Ale ja nie mogłem. Wypowiedziałem posłuszeństwo. Nie mogłem ująć więcej, jak dzie sięć kroków, żeby nie wyskoczyła taka przeklęta boczna myśl, uboczny kaprys, uboczna troska i złowiła na wędkę to, co zwię mym duchem.

Nie mogłem wygrać gry.

Ale me zaufanie do zbawczej siły metody taczkowej pozostało niezachwiane.

Należy ją tylko dość długo prowadzić.

XV. Omega.

I na przekór wszystkiemu i wszystkim — stało się wkońcu publicznie wiadomem, że budowa była błędnym krokiem, przynajmniej o ile wchodziło w grę me trwałe szczęście. Gdy bowiem wszystko zdawało się skończonym i zboże zaczęło schodzić, kury zaczęły porządnie znosić jaja — trzy z nich już je wysiadywały — a gałęzie dzikiego wina kłaniały mi się do okna, zacząłem się martwić. Nie mogłem z mego domku pustelnika czerpać takiego szczęścia, o jakim marzyłem. Zdawało mi się dawniej, że mógłbym żyć z naturą i tylko z nią, w monogamii, niezależny, oderwany od reszty ludzkości. Nie mogłem jednak, przynajmniej bez szkody.

Zdaje mi się, że żaden człowiek, który żyje, tego nie potrafi.

Sama przyroda mnie tego nauczyła. — Wszystko łączyło się w pary lub stada. Rośliny i drzewa kwitły wspólnie, a mrówki i wszelkie inne stworzenie starało się łączyć z podobnemi sobie istotami.

A ja — oderwany koniuszek ludzkości — chciałem być sam. Ptakom i zwierzętom pochlebiał może mój podziw, ale nie przyjęły

mnie w całości do swego życia, czy to dlatego, że nie umiałem uszanować smaku młodych pędraków — dość, że panował między nami pewien chłód. W powietrzu zdałem się czuć coś, jakby słowa: „Nie należysz do nas. Jeżeli tego próbujesz, to przez pozę; idź do podobnych sobie i przychodź do nas tylko w odwiedziny! Do naszego życia nie możesz się dostać w zupełności. Nie jesteś ptakiem, który mieszka w gnieździe i żywi się robakami, nie jesteś wiewiórką w dziupli drzewa, ani drzewem, byś mógł na jednym miejscu zapuścić korzenie i zostać na niem. Pustelnikiem jest człowiek, który próbuje stać się drzewem i ciągnąć pożywienie z jednego miejsca. On jest jednak czymś znacznie więcej, niż drzewem i musi pożywać swe wysoce zróżniczkowane życie z wielu ludzi, z różnorodnych miejsc. Niedźwiedź nie jest na tyle głupi, by chcieć żyć między wilkami — i człowiek nie powinien próbować mieszkać wyłącznie z drzewami, czy tem, co się zresztą zwie przyrodą — nie może mu ona dać wszystkiego, czego potrzebuje do swego intensywnego życia. Są ludzie rośliny — ludzie zwierzęta — ludzie bogowie. Człowiek boski potrzebuje na ziemi atmosfery tego, co najbardziej uduchowione

na ziemi — człowieka, — by stał się skończonym człowiekiem.

Tak więc opuściłem mą pustelnię — na zawsze, jak sądzę — i przeniósłem łożko, rynki i garnki do Nowego Yorku, do domu jednego z przyjaciół.





S. A. KRZYŻANOWSKI

W KRAKOWIE

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA, KOMISOWA
I SORTYMENTOWA

SKŁAD I WYPOŻYCZALNIA NUT
KRAKÓW :: RYNEK GŁ. :: LINIA A-B

SKŁADY GŁÓWNE WYDAWNICTW:

ARCTA M. W WARSZAWIE :: G. CENTNERSZWER
W WARSZAWIE :: IDZIKOWSKIEGO W KIJOWIE ::
„KSIĄŻKI“ W KRAKOWIE :: H. LINDENFELDA W WAR-
SZAWIE :: J. MORTKOWICZA W WARSZAWIE ::
POLSKIEGO TOW. NAKŁADOWEGO WE LWOWIE ::
ULTIMA THULE W WARSZAWIE :: TOW. MIŁOŚNI-
KÓW M. KRAKOWA :: TOW. LEKARSKIEGO W KRA-
KOWIE :: ST. WYSPIAŃSKIEGO :: KSIĄŻNICA NAU-
KOWA I ARTYST. :: GUY DE MAUPASSANTA I-XII.

:: :: NAKŁADY : :: ::

	Kor.
APULEIUS. Rydel L.: Amor i Psyche	6.—
BEŁZA WŁ.: Z Wenecyi do Neapolu	3.—
BERNADZIKIEWICZ: Ogród szkolny	1.—
BOY: Markiza	
BRANTOME. Żywoty Pań swawolnych. Wyd. lux.	25.—
— Żywoty Pań swawolnych. Wyd. tańsze	9.—
DYBOSKI R.: Milton i jego wiek ; .	2:50

	Kor.
ELLY: (Asnyk) Poezye T. IV.	4—
HOMOLACS K.: Bajka o Kosturku, Azie i Burku	5—
JANISZEWSKI W. Dr.: Opieka nad chorymi gru- żlicznymi	1:20
— Co każdy o gruźlicy wiedzieć powinien	1:20
KATERLA: Róża	4—
KONOPNICKA M.: A. Mickiewicz	—60
KUPRIN: Banzaj i inne humoreski	1:50
MAZANOWSKI: Szkice pedagogiczne	2—
MILLE P.: Kamyczek	2:50
ORKAN WŁ.: Pomór	3:50
RYDEL L.: Zaczarowane Koło	3:60
— Zygmunt August. Trylogia:	
I. Jedynek	4—
II. W złotych więzach	4—
III. Ostatni	4—
STASZEWSKI M. Dr.: Karta graficzna niesienia pierwszej pomocy w nagłych wypadkach chirur- gicznych	
Nr. 1. wyd. brosz	2—
Nr. 2. „ „ składane	3—
Nr. 3. „ „ „ w teczках płócien.	4—
Nr. 4. brosz. na ścianę podklejana płótnem	6—
TOMASZEWSKI FR.: Chemia	—70
WASSERMAN J.: Dzieje Renaty Fuchs	3:50
WYSPIAŃSKI ST. Autoportret barwny	2:50
ZAWILIŃSKI R.: Z kresów Polsczyzny	2:50
ZAPOLSKA DYNOWSKA M.: Latawiec	3—
ZDZIECHOWSKI M.: Wizya Krasińskiego	3:50
ZYCH: Rozdzióbią nas kruki, wrony	4—
ŻEROMSKI: Sułkowski	6—
ŻUŁAWSKI J.: Za cenę łez	4—

KATALOGI BEZPŁATNIE.

